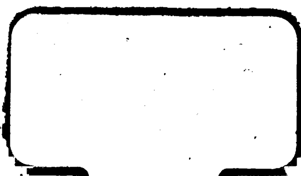


t

JULIUSZ SŁOWACKI DZISIAJ.

1470

JULIUSZ SŁOWACKI DZISIAJ

SZKIC KONTUROWY

SKREŚLIŁ

CEZARY JELLENTA

KRAKÓW * DRUKARNIA NARODOWA * 1900.



Jurzykowski

I.

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę
Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę.
(Podróż do Ziemi Świętej).

»Orłem obleciał świat«, a potem sto innych przywdziewał postaci. Dla siebie samego — bywał różą, rozlewającą piękno, wolnym rumakiem edeńskim, żądnym odwagi i szlachetności, srebrną łanią, leżącą pod drzwiami raju i pełną dobroci kobiecej, to znowu smętną pieśnią słowika, albo poważnym duchem homerycznym, to córą faraona, błyszczącą drogiemi kamieniami (»Wykład nauki«).

Dla nas — jest dziś dzikim łabędziem, złocącym się w promieniach jutrzenki, kluczem żórawi, wypędzanych chłodem do krain słońca, proroczą kometą na niebie, girlandą gwiazd w pomroce nocnej, wiankiem srebrnych gołębi niosących gałązki oliwne, narcyzem wpatrzonym w własną piękność, irysem mistycznie wonnym i duchowo białym. Był słowem wszystkiem, co mknie, wybucha, co drga i wonieje, co pała i tęskni, co ma blaski tęczowe i struny harfy — tylko nie zjadaczem chleba.

Może jest i sfinksem, ale chyba sfinksem lotnym i powiewnym jak cherub. Chciałoby mu się nadać i tę formę zjawienia, bo nie przestał być tajemnicą i zagadką poezyi, jak cudotwórcze zaklęcia magów egipskich. Owszem — teraz dopiero, na tle nowych a niewyraźnych jeszcze świtów nowej muzy, zaczyna zlewać z nim swe zorze różnobarwne w sposób prawdziwie zdumiewający. Dziś, w pół wieku po swej śmierci cielesnej, rozpoczyna na dobre swój obrót planetowy po obłokach poezyi. Staje się ciałem jego wróżba:

Przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo.

Już działa jego »myśli czarnoksięstwo« i owa siła fatalna, którą »Testamentem« swym zostawił potomnym, aby ich, zjadaczów chleba, przerobiła w aniołów. Wprawdzie do anielskości jeszcze daleko, ale tę moc wyroczną, przyświecającą tylu dzisiejszym śpiewakom, ale to czarnoksięstwo, które zeprzęga do roboty mozolnej biografów i każe im z czcią świątobliwą uwieczniać najdrobniejsze szczegóły z życia wielkiego rywala Mickiewicza — badać już o tyle o ile można. Takiej pokusie oprzeć się niepodobna.

Lecz odważający się na tę wyprawę zastrzega się przed czytelnikiem, że tylko słowom własnym poety wierzy. Tylko jego dziełom poetyckim, których nieogarnione i wciąż rosnące bogactwo o tyle ułatwia odczucie i określenie owego znamiennego uroku Słowackiego, że domysły komentatorów są co najmniej zbyteczne.

Zresztą dla samej sprawy życiorysu, dla jego pełni i dokładności wszelkie szperanie drobiazgowe jest pożyteczne i bodaj nieodzowne, ale dla wniknięcia w samą istotę duszy poetyckiej, która wypowiadała się wybujale i kwiatem i owocem niezmiernie obfitym — rzecz to mniejszej wagi. A taką właśnie była indywidualność Słowackiego, który zwłaszcza w Pamiętniku i Listach wyspowiadał się dostatecznie z tego, co mogłoby nie »odstrzelić się« należycie w jego poezyach. Mówił z ludźmi natchnieniem i sztuką, a znacznie mniej czynem, bo do tego nie był powołany. Żył i skonał raczej jako mistrz słowa i gieniusz czysto poetycki, niż jako wódz i nauczyciel. Jego czarowny wpływ na potomnych ma w sobie więcej z olśniewającego światła, które pada z wysokich sfer — i przeto wzrusza szczytnością duchową i moralną, niż ze steru lub kompasu, umocowanego na powierzchni ziemi. »Imię moje — powiada w »Testamencie« — tak przeszło jako błyskawica«.

Dla samej tedy analizy widmowej tego światła dzieła i zwierzenia poety wystarczą, zwłaszcza, że je mamy uporządkowane. One też pouczają nas dostatecznie o ogólnym i zasadniczym kierunku życia Słowackiego, o duchu jego wewnętrznych przemian i zdarzeń, o kolorycie osobistych cierpień i radości. One nam dają, słowem, to tło osobisto-moralne, na

którem należy umieścić obraz samego ustroju poetyckiego, ażeby wypadł dokładnie i był należycie zharmonizowany z naturą jednostki, jako człowieka.

Owóż Słowackiego dusza przeszła wędrówkę. Niedarmo wierzył tak mocno w metampsychozę zarówno powszechną, jak i własną, która rozpoczęła się od formy listka koniczyny. Niedarmo Królowi-Duchowi dał globowe skrzydła, aby przenosił się z stulecia w stulecie, z tronu na tron. Kto wie, czy jego mistyczna teorya rozwoju kształtów żyjących i doskonalenia się bytów nie miała doniosłej zachęty w poczuciu własnych przemian i ciągłych odrodzin. Nosił w duszy malowidła własnych swoich dziejów.

Nietylko, że pamiętał i zdawał sobie sprawę z kolejności gustów i zamiłowań, gdy np. przez usta Heliona w »Wykładzie nauki« opowiada jak najpierw kochał kościół, jego procesye i obrzędy, a potem piękno rycerskie i wojowniczość, — ale rozmyślał wciąż nad własną poprawą, nad wszystkiem, co mogło się wydać niegodnem umysłu wybranego, wymagało ostrego sądu, skarcenia, wytępienia. Jego żywot moralny — to długa droga doskonalenia się, to pielgrzymka do ziemi świętej, którą jest władcza siła ducha. Pątnikiem zaś uczyniła go nie wrodzona jakaś skłonność do umartwień, nie zakrój ducha nazareński, z mlekiem matki wyssany, lecz właśnie naodwrót, przepych iście lotosowy własnej organizacyi, poryw ku szczęściu, rozkoszy i sławie, pragnienie uczuć i związków — silnych a ciepłych.

Bo na spotkanie jego żądzom i ognistym zapałom, jego snom romantycznym nie szedł przyjazny wiatr, któryby je szczęśliwie pchnął na pełne morze — nie, osiadały na mieliźnie lub drętwiały w zabójczej ciszy. Możeby wolał orkan, co zatapia lub o rafy druzgocze, niż ten straszny spokój, nieczułość i obojętność. Jego wewnętrzny proces nie był tedy ogniem oczyszczającym grzesznika, lecz rezygnacyą, której przebył wszystkie szczeble.

Godzi się rozważyć ten żałosny widok, to padanie — w oczach poety — zielonych drzew życia, jednego po drugiem, te »awatary« rozczarowań kolejnych.

Znamy wielkich poetów, którzy od samego zarania swej

twórczości roztapiali ducha w idei wszechludzkiej, czerpiąc z niej stale moc. Takim był np. Shelley, który upijał się poprostu haszyszem panteizmu i wiecznie po nad ziemią szybując, mógł jej głodów i pragnień nie czuć zbyt silnie. Bywali inni, co choć trącali bez ustanku strunę goryczy i wydobywali akordy przekleństwa, żyli przecież szeroko i bujnie i umierali w najwyższym bohaterskim, królewskim niemal blasku — jak Byron. Znamy jednego, co miał jakąś trzeźwość i jasnowidztwo filozoficzne, które mu nie pozwoliły zbyt gwałtownie się szamotać. Zygmunt Krasiński był wielkim psalmistą i wielkim, rozumnym znawcą dziejów, ale nie stawiał sobie ideałów zbyt pożerających, nie rzucał się ku przyszłości zbyt utopijnej, miał coś w rodzaju busoli w swym arystokratyzmie. Poezya jego, choć formą nieziemska, rozsnuta w mgły i wizye, ukrywa jednak w sobie coś ze zdrowej praktyczności Rzymian. Sam zaś on miewał w życiu chwile szczęścia i powodzenia — należał przecież do uprzywilejowanych. Jak mało łamał się i jak wcześnie drogę swoją jasno zrozumiał, widać z jego »credo« poetyckiego i z tej zdumiewającej subtelnością swą estetyki, którą wykazał, określając geniusz Słowackiego. Była w Krasińskim jakaś siła życiowego rozumu, która imponowała rozdartemu na tysiąc istot Juliuszowi i o którą chętnie wspierał się. Wreszcie najpotężniejszy z nich — Mickiewicz, z ustrojem tytana, Prometeusz, który zuchwale ściągnął na ziemię polską ogień romantyzmu i rozjaśniał drogi nawet takim, jak Słowacki, tak rozbijał i urabiał opinię cyklopowym swym młotem, tak szczęśliwie przetapiał zawody miłosne i wszelkie bóle i tęsknoty osobiste w kruszec poezyi dla wszystkich zrozumiałej, olbrzymio-posągowej, realnem życiem przepojonej, w pomnikowo-trwałe kształty ujętej, że ludzie do stóp mu padali, i jak wieszcza z ramienia samego Boga czcili. Chociaż więc górował nad kołem swych przyjaciół i hołdowników, jak szczyt niebotyczny, miał pociechę i osłodę, miał niemal pewność siebie możnowładczą, miał kościół własny, wiernymi wypełniony, — był prawodawcą i rzeczywistym królem poezyi narodowej.

A Słowacki? Ktoby z nim mieszkał pod jednym dachem, mógł się nie obawiać gromu zazdrości bogów, jak truchlał

ongi gość Polikratesa, widząc, że szczęście wciąż do jego brzegów samo przypływa, że nawet zatopiony w morzu pierścień sam się odnajduje. Słowacki wszystkiego pragnął, ale wszystkie łaknienia po kolei zdławić musiał. Pożerała go wieczna żądza miłości, a skazany był na wieczną samotność. Dzieje serca jego, to żywot kwiatu, który wciąż spragniony kropli dżdżu, daremnie kielich swój rozchyla, aż wreszcie usycha z żaru. Poeta żył w promieniach wdzięków kobiecych, poił się ich czarem, lecz sam trawił się głodem wzajemności. Zarówno Ludwika Śniadecka, jak Marya Wodzińska, jak pani Bobrowa — o innych czułych afektach nie mówiąc, — miały dlań widocznie uznanie, siostrzaną sympatyę i różne inne szlachetne uczucia, lecz go nie kochały. On zaś tę miłość chciał zdobyć, wprost walczył o nią, roztaczał blaski swego bogatego umysłu, niebywałej wiedzy literackiej, rozsypywał zwierzenia, skargi, darzył czytaniem swych utworów, swem towarzystwem, słowem, rozrzucał perły, jakiemi się nie poszczyci najwspanialszy dyadem królowej — wszystko daremnie. Siła fatalna, co przemienia ludzi w aniołów, jest lichym wabikiem miłosnym; ona może pociągać będzie serca kobiece, ale w epoce — aniołów. Za dużo miał w sobie marzycielstwa i niecierpliwej naiwności, ażeby mógł zdobywać córy ziemi, nie uzbrojony w bogactwa i sławę, przed którą się czołem bije. W swej dziecinnej prawie prostocie naśladował Byrona, nie będąc ani lordem, ani dziedzicem olbrzymich dóbr, ani spadkobiercą brutalnych feodałów. Chronił się zaś pod tę tarczę bajronizmu właśnie dlatego, że sam dość mocnego puklerza nie miał i rzucony został w świat, jak bezdomny sierota. Nie rozumiał, że aby współzawodniczyć z Krasińskim i pamięć jego z serca pani Bobrowej wydrzeć, trzeba było należeć do silnych świata tego, jego zaś siła, na natchnieniu i geniuszu anhelicznym oparta, jest nie z tego świata.

Stosunkowo szczęśliwszym był wobec natur kobiecych mniej złożonych, jak paryżanka Kora, Eglantyna Patteg, szwajcarka, albo pół-włoszka panna Morin, lub wreszcie różne, spotykane w wędrówce po krajach południa i wschodu dziewczęta o czarnych, palących oczach. Być też może, iż zrywał róże polne i szedł nieraz śladami Fausta, ale nie zdaje się,

ażeby na wskroś cywilizacyjna i wykwintna, wyrafinowana natura znajdowała w tych przygodach lekarstwo na samotność ducha. Tęsknota za trwałym, głębokim związkiem z kobietą, pełną poezyi, o wysokim poziomie umysłowym i artystycznym, wysuszała Słowackiego. Żal, którym drga całe »W Szwajcaryi«, żal zranionego łabędzia, był nutą, górującą w melancholii poety, zanim człowieka zwyciężył w nim na zawsze Anhelli.



Takie same były dzieje jego przyjaźni. Rwał się do ludzi i sentymentów. Miał w sobie, przynajmniej w młodszym okresie życia, coś z pysznych pnączów włoskich, jak niebieskie wonne klimatusy, które, spadając girlandami z dachów i skał, owijają się dokoła innych roślin i kwiatów. To nie znaczy bynajmniej, iż był naturą bluszczową w tworzeniu, jak określali go niektórzy, i że lutnia jego szukała zawsze dębu, na którym mogłaby się wesprzeć. Zobaczymy dalej, że to pomyłka i nieporozumienie. Lecz, jako człowiek, napewno pragnął współdrgania serc i ofiarowywał swoje każdej szlachetniejszej duszy. Widzimy go nieraz w towarzystwie, wprost niezdolnem do odczucia nurtowań jego umysłu, jak różni kompanowie we Włoszech i na Wschodzie (Januszewscy i inni). Występuje on raz po raz, jak rzeczywisty Faust, otoczony kołem istotnych Wagnerów, i choć się nieraz w chwilach refleksyi na to zżyma — serce jego nie dzieli chłodu rozumu — i po dawnemu ciepła szuka. Prawdziwego lorda Byrona nie widzę w nim, tego fantasty, który potrafi zupełnie wystarczać sobie i — wedle własnego określenia — jest dumny i samotny, jak lew, nie odnajduję. We wszystkich swych listach wywnętrza się łatwo i dosyć czułostkowo, dużo całuje i jeszcze więcej tęskni. Dziwnie koleżeński i braterski — wyciąga ramiona do świata całego. »Nigdy mu kto szlachetny nie był obojętny«.

Jednak, gdy rozwój jego poszedł odmienną drogą, a ideały poetyckie i narodowe nabrały ściśle odrębnych farb i zarysów — samotność przyjść musiała. Rozwarła się nareszcie i zaczerniała całą swą głębią otchłań różnic, która go dzieliła od najbliższego druha — Zygmunta Krasińskiego. Ten cudowną źrenicą odrazu odgadł był czarnoksięstwo Juliuszowej poezyi i jej dalekie w przyszłości losy, i przewzniośle wolny od jakichkolwiek małostek spółzawodnictwa, mówił o nim słowami uwielbienia i pisał brylantami dziwnie trafnej krytyki. Jednak z czasem — powiadam — i ta szczytna przyjaźń wygasła. Dioskurów rozdzieliły ich własne indywidualności. Starły się na ostre wykwint polityczny autora »Psalmu żalu« z nieszlachecką skrajnością twórcy »Do autora trzech psalmów«. Pustka więc zaległa dokoła wielkiego pieśniarza tak dalece,

iż święta Bożego Narodzenia w r. 1848, choć nadłamany cierpieniami, spędzał sam, jak ktoś, co całą rodzinę swoją ma — na cmentarzu. Żartował z tego piekła, ale niem płakał:

O, Dante! czy ty znaczyłeś te kręgi,
Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,
A wkoło takie figury, ciemięgi,
Taka gromada szara gospodarzy?...

Lecz tu porywami serca kierował już potężny, niezależny umysł, etycznie wyolbrzymiały charakter, który pojmował dobrze fatalność idealizmu:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi pod mogiłą
Z aniołem śmierci żyć — tak strasznie było!

W tej i wielu innych boskich strofach »Beniowskiego«, w których znalazły swój kryształowy wyraz odmęty własnego bólu i bólu świata — widzimy twarz męstwa i hartu. Sam poeta pisze wprawdzie do domu, że jest w nim »wielka obojętność na dzienne zmiany i smutki ludzkie«, że Julek stał się spokojnym człowiekiem, w którym bicie serca zostało odmienione, umysł stał się spokojny (»List 138«) — ale ośmielamy się nie wierzyć poecie. W kraterze jego duszy wiecznie czucie ogniami się przelewało — nie było tam spokoju i nie z niego szła moc, lecz właśnie z samego bólu, ze świadomości wewnętrznych zawieruch i płomiennego żaru pożądań. W tym stanie płakał, ale w łzach jego, jak wogóle w łzach bólu moralnego, siła jest głównym pierwiastkiem, nie słabość. Tylko burzą wezbrany żywioł tworzy potężne kaskady, a kaskady toczą się nie z gliny i mułu, lecz ze skał i opok.

Wierzymy przeto innym jego słowom:

Boleścią moją powietrze zaklęte
Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha.

Wtenczas — o straszne godziny przeklęte!
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha.

Bo taka jest piękność, taka posągowość niedoli — mówi gdzieindziej — że ona naszym marmurem! Motyle tylko wabi nowość, lecz twarz większa, w ogień i twardą surowość ubrana, z kluczem żórawi i sznurem nie chodzi, ale na ustroniu błyska, a czasem śmiechem z ust, jak krwią, wytryska.



Zdobył więc herb najwyższej potęgi — puhar goryczy i samotności. Odbiegli go zresztą nie tylko przyjaciele, lecz w wysokich burzanach ludzkiego stepu — kryła się i sława. Nie można powiedzieć, żeby jej nie było — jeno skradała się zwolna, raczej z miną wroga, niż brata. Szła niechętnie, kołując i myszkując, pełna intryg i często w masce niechęci. Ten, co swego czasu błagał Boga o sławę po śmierci, choćby za cenę pogardy, niepoznania i nieszczęścia w życiu (»Pamiętnik« i Listy do Matki, 10) i »jak waryat gonił za jakąś urojoną tam nieśmiertelnością«, ten, co cieszył się, że Bóg zabrał nareszcie Goethego, najgroźniejszego rywala w sławie — (List 12), musiał się skarżyć, że go ojczyzna nie kocha, że »niema nikogo ze szlachetnych«, i że próżno wyrzuca słowa namiętne pełne łez i krwi i błyskawic na serca, które zawsze były mu nienawistne. Musiał się skarżyć, że ma harfy nieme i słuchaczów głuchych (»Grób Agamemnona«) i patrzyć na to, jak głos innych śpiewaków czarem orfeuszowym okamienia naród cały. Zaczynał wierzyć, że szatan podchwycił owe ambitne modły i zesłał mu naprawdę pogardę i nieszczęście. Ale powoli, powoli zrozumiał swoje dalekie przeznaczenie dziejowo-literackie, i wyrzekł się sławy doczesnej. Chce tylko (»Testament mój«), ażeby maleńka jego drużba wiedziała, że jest tragiedyi świadom, a za jedną osłodę na dziś ma to przekonanie, że był w swej rezygnacyi wielki:

> Któ drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
> Iść?... taką obojętność, jak ja mieć dla świata?
> Być sternikiem duchami napełnionej łodzi
> I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Sceptyk mógłby zarzucić, że Słowacki przesadzał swoje opuszczenie egzaltowaną wyobraźnią, że był naddrażliwy. Nie sądzę — jego poezye późniejsze dyszą takim rozdzierającym i pełnym akordem bólu, wieje z nich takie oswojenie, »otrzaskanie się« z żądłami drwin, ironii cudzej, obojętności, taki głęboki smutek bezdomny, takiem światłem pozaziemskiem płoną oczy, zapatrzone w daleki obraz zwycięstwa za grobem, że wszelkie wątpienie wydałoby mi się tutaj bezmyślną trzeźwością, dla której serce poety jest zamkniętym sezamem.

Jedyną podporą w tem rozbiciu była miłość dla matki.

W tem uczuciu stopił wszystkie inne, swe ambicye boga, mającego swoje słońce naprzeciw słońca Mickiewicza, swe tęsknoty miłosne, swoje zapędy marzycielskie, swój głód duszy, nasycany jeno, jak mówił, przyjemnością w r a ż e ń, lecz nie rozkoszą u c z u ć. Dlatego »Listy do Matki« nabrały tak wyjątkowego uroku i są takim zbiorem tkliwych tęsknot, karności synowskiej, religijnego prawie ubóstwienia i dlatego tyle w nich słodkiego płaczu i gołębiej rozmowy. I stąd wreszcie powstały te hymny natchnione do Matki w »Beniowskim«, gdy wspomina, jak karmił się blaskami jej błogosławieństwa, podobnemi do gwiazd, jak głosem jej kierował się wszędzie, jak widział ją w Romie, ukazaną przez nadpalmowych aniołów; teraz jeszcze chce, ażeby w jego strofach na końcu czytelnik usłyszał gorące, »jej biednych stóp pocałowanie«, które rosi cichemi łzami. Jej też niech przyjaciele odniosą po śmierci jego biedne serce, spaliwszy je w aloesie.

Oto według mego rozumienia duch życia Słowackiego. Szczeblowanie wielkich rezygnacyi, na tle wzrastającego bólu, siły, rzewności i ducha. Na takiem też podmalowaniu i w takiej aureoli ukazuje się nam zasadnicze jestestwo jego twórczości. Jest to metampsychoza w obrębie jednego ustroju zamknięta, przeto o charakterze rozwojowym. Tylko nie należy myśleć za plotkarzami, że u jej punktu wyjścia leżały jakieś rzeczywiste małostki *), i że kroczenie ku doskonałości odbywało się

*) Zaciężyła nad Słowackim fatalność — biografowie wzięli się niepotrzebnie do psychologii, znawcy czysto zewnętrznej strony jego życia pokusili się o wydobycie na wierzch ich podkładu duchowego. Materyały zresztą bardzo szacowne do życiorysu przepleciono analizą śmieszną i płytką. Jej owocem między innemi — wynalezienie w fizyonomii poety — rysów kobiecej próżności i kokieteryi. Wynalazek tem dowcipniejszy i nieszczęśliwszy, że mu zadają wprost kłam listy Słowackiego do Matki, z których widać »czarno na białem«, że sam każdy swój występ w eleganckim świecie przedrwiwał, że czuł zawsze niewłaściwość roli salonowca i wolał wykręcać się skargą na spleen niż składać wizyty i umizgi. Jest on tam zawsze wierny duchowi tych strof Beniowskiego, z któremi zwrócił się do warszawiaków w sposób bajecznie pasujący do chwili teraźniejszej i jakby proroczy:

Chciałbym także, aby fryce
Warszawscy, którym dziś tańcować chce się,
Mogli w me wiersze spojrzeć jak w miednicę
Pełną różanej wody — dziś usiadłem
Z chęcią, ażebym był wody zwierciadłem.

za sprawą tych oczyszczających składników życia, które każdego wogóle wielkiego poetę stopniowo idealniejszym czynią. Nie — zaród wzniosłości nosił w sobie Słowacki od najmłodszych lat, zawsze bystro patrzył w siebie i rozkładał własne myśli, uczucia, a w potrzebie i serce rwał w kawały. Żądza anielskości paliła go ustawicznie, wygórowane pragnienia w stosunku do ludzi i siebie samego odnawiały wciąż ferment autoanalizy. Był to z pewnością największy poeta spowiedzi, biczujący siebie nawet wtedy, gdy ludziom się zdało, że on tylko ich rymami swemi smaga i parzy. A w takiej naturze nieuniknione są chwilowe zygzaki, jako bolesne doświadczenia, po których dziki łabędź tem wyżej i śmielej loty swe kieruje. Anielskość jego z ducha się poczęła, nie z przyczyn zewnętrznych; w życiu swem jak w »Genezis ducha«, siadał nad brzegiem nieskończoności morza »i dziwną pracę odbywał, pracę nad sobą samym, nad tym duchem, co wiecznie cierpi a pomóc mu jeszcze nie pomoże«. I nieraz bił się w piersi, jak przed popiołami Agamemnona i wołał:

»Mówię, bom smutny i sam pełen winy«.



II.

Czy nie widzicie, żem chory: Szatanizm,
Byronizm, siedem mnie dręczy boleści.
»Podróż do Ziemi Świętej«.

Czy może błądzić naprawdę duch, gdy z błędów swych zdaje sobie bezustannie bolesną sprawę? Czy może błądzić poeta, który wzrokiem skierowanym wewnątrz rozświetla się fosforycznie i tak przenika tajemną robotę gieniuszu, jak chemik pracę retorty?

Podobnie jak czynom swym i myślom życiowym Słowacki kazał przeglądać się w zwierciedle moralnego sądu, tak też doskonale świadom był wszystkich dróg swej muzy. To miłośnie, to drwiąco, to dumnie, to — jak w przypisaniu »Balladyny« — skromnie, śledził ją, określał wybornie i oceniał. We wszystkich strofach swawoli poetyckiej »Beniowskiego«, w kaskadzie żartów, któremi skrzy się »Podróż na Wschód« — słyszymy donośny, metalowy głos krytyki siebie i innych. Jego uwagi o poetach, jego wizerunki Mickiewicza, Boh. Zaleskiego, Malczeskiego i wszystkich wielkich pieśniarzów swojskich i obcych — są zawsze tak trafne, subtelne i nieomylne, że wobec nich chyba o jakiem uśpieniu czujności nad sobą samym nie może być mowy. Czy przeciwstawia otwarty, szeroki bardon Mickiewicza nienatchnionym i często sztucznym dumkom i szumkom Zaleskiego, lub na spotkanie »czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury Zygmunta Krasińskiego prowadzi swoje lekkie tęczowe Aryostyczne obłoki« — wszędzie zajmuje punkt widzenia tak górny, taką bystrość i przenikliwość okazuje sądu, że z niemi wprost nie mogłaby iść w parze rachuba na to, iż naśladownictwo ujdzie uwagi

ludzkiej. Więcej nawet: czy wobec jego skrupulatności i wybrednego smaku artysty, byłoby psychologicznie możliwe, ażeby zgodził się być zależnym od gieniuszu innych i zniewolonym do wdzięczności — czy na to przystałoby jego własne, surowe sumienie poetyckie?

A jednak...

Tak zrosło się z imieniem Słowackiego wspomnienie bluszczu, powoju, okręcającego swe pędy dokoła pni drzew, że z tym nałogiem opinii liczyć się trzeba.

Ona ma na obronę swą dziesiątki imion i faktów. Ona w każdym z wcześniejszych zwłaszcza utworów poety odnajdzie żywy ślad natchnienia cudzego i mogłaby ułożyć ciekawą listę zapożyczonych pomysłów. Oto Byron, zjawiający się w jutrzni wieku, jak bóg poranny z pękiem złotych promieni w ręku, w rydwanie z ognia i burzy, z dumną twarzą Apolina Belwederskiego. Ledwie stanął na niebiosach, już oczarował Słowackiego, urzekł go potęgą, męstwem, walką, świetnością, pychą, tajemnicą i sarkazmem — i wnet Słowacki zaczyna marzyć o szatańskiej przeszłości, o zemście nad ludźmi, o cudach Wschodu i Południa, o heroizmie wyzwolonej Grecyi. Pisze Araba, Mnicha, Lambra. Wezwawszy na pomoc strofy »Rolanda Szalonego« i »Don Juana«, puszcza się na wyprawę wesoło-tragiczną Beniowskiego i Podróż na Wschód, która choć sekstynami pisana, brzmi jakby to były oktawy — i wyzywa na fantazyjne harce każde spotkane wrażenie, widma przeszłości, zmory własnego smutku, zachwyca się, śmieje, płacze, urąga i płazuje szablą, swawoli z duszą poezyi, jak zalotną wróżką, jak z »muzą, mdlejącą z romantycznych cierpień«.

Oto zagłębił się w studya nad Szekspirem »nad duchem, który zbudował górę większą od góry, którą Bóg postawił« — i wnet wyobraźnia jego rażona widokiem strasznych namiętności brytańskich wielkoludów, zaczyna roić obrazy wielkich zbrodni i miłości, ogromnych żądz, sławy i upadków ducha. Magnetycznie pociąga go lady Makbet z swą dłonią, z której krwi nie zmyłyby wszystkie wonie Arabii — i, niebawem stwarza postać Balladyny, na której zbrodniczem czole plama krwi zmieniła się w niezatarty stygmat, staje się żądłem, za-

szczepiającem jad nowych, nieskończonych zbrodni. Wzrusza go stary Lir, olbrzym puszcz i sieroctwa, brodacz stuletni, trzęsący się od gniewu i łez i szaleństwa bólu, — i wnet zjawia się odwieczny król harfiarz Derwid, cudny duch ojcowstwa, co widzi trupa swej ubóstwianej córki nawet jamami wydartych oczów i gdy woła niebios o pomstę, to ten głos ojca Lilli Wenedy dźwięczy, jak echo głosu ojca Kordelii:

Pioruny bijcie we mnie! o, pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje to puch, jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane,
O, wichry! rwijcie mi włosy! o, wichry!

Podobnie, gdy go oczarowała żrąca melancholia księcia duńskiego — zjawił się Szczęsny (w »Horsztyńskim«), który postawiony między głosem serca synowskiego, a ohydą zbrodni ojca — trawi ducha na czcze zadumy, tumani go miłostkami płochemi, i siostrze, ubóstwiającej go więcej niż siostra, każe, jak Hamlet Ofelii — iść do klasztoru, a choć wznioślejszy od świata całego, kładzie na twarz maskę obłąkańca lub niegodziwca... A już najwięcej porwały go rzeczy fantastyczne łabędzia z Avonu — i przeto przeniósł »Sen nocy letniej« nad Gopło i stworzył haft przedziwny miłości, czarów, baśni, zabawnych omamień, głosów natury na tle »Balladyny«.

I nie został wreszcie obojętnym na żywioł komiczny Szekspira, którego wyraźne odzewy słychać w postaciach Grabca i Ślaza (z »Lilli Wenedy«), karła, Sforki, Trombonisty i wielu innych. Czasem też »W tych fantastycznych figurach — mówi do autora »Irydyona« — autor szczebioce Alfierego językiem«.

Chcecie szukać Goethego? Znajdziecie Fausta profil, złączony w jedno z profilem Manfreda-Gustawa-Konrada, w owem wspaniałem powitaniu wieku przez szatanów, którem zaczynają się dzieje kochanka Laury i Violetty. Czyż nie brzmią znajomą muzyką te szamotania się przykutego do skały:

Jam jest posąg człowieka na posągu świata!
O, gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie

I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną,
Pomyśleć tak — i nie chcieć! o hańbo, o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie módz! w szmaty podrę łono!
Nie módz? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło
I przepełniło serca nad brzegi?

A gdy wawrzyny Milciadesa-Mickiewicza spać mu nie dawały, sięgnął jak on po natchnienie do dziejów krzyżackich i stworzył »Mindowe« i niedokończone dwie odmiany tej samej postaci: »Wallenroda« i »Waltera Stadiona«. Co więcej: zostawił urywek epopei szlacheckiej, rozgrywającej się w Soplicowie, z Wojskim, Telimeną, Zosią.

Nie istna-ż to zagadka?

I oczywiście nie zbrakło innych mistrzów poezyi w tych jego urywkach i szkicach poetyckich, które odgarniał niedbale i na uboczu zostawiał, jak kopacz złota, co gardzi rudą nieczystą, a zbiera tylko żywy, szczery, samorodny kruszec. Kto wie, może z Szyllerem chciał walczyć o palmę pierwszeństwa w »Maryi Stuart?« Uwielbienie dla Calderona posunął aż do tłómaczenia jego Księcia Niezłomnego i błyśnięcia jego »brylantową imaginacyą« w Księdzu Marku. Od Danta wziął pomysł fantastycznej wędrówka Piasta Dantyszka, herbu Leliwa, smutnego szlachcica, co pięcioro ma dzieci w mogile, a jedno wężowego płodu, i przeto niesie zapozew Bogu i przelatuje po wirach kar i okręgach potępieńców świeższej doby. I pamiętał pewnie o mękach żagłodzonego w Psiej wieży Ugolina-Bonnivarda, gdy sączył kropla po kropli torturę »Ojca zadżumionych«. I przed Homerem się ukorzył, jąwszy się przekładu »Iliady«, której spory fragment zostawił. Wreszcie w rozszalałej orgii swej twórczości upajał się fantastycznemi wątkami Goszczyńskiego (»Zamek Kaniowski«) w swoim »Śnie Srebrnym Salomei« i Malczeskiego w »Janie Bieleckim i »Wacławie«, do którego aż wstęp usprawiedliwiający napisać uważał za stosowne.



Chyba innych dowodów naśladownictwa gromadzić nie trzeba. Te — wystarczą scholaście nie tylko na podstawę dla wyroku nieprzychylnego, ale bodaj na oburzenie i podziw, że ktoś tak po gospodarsku obchodził się z cudzym dorobkiem.

Ale mędrca szkiełko i oko nie może być sprawdzianem tam, gdzie trzeba czucia. Uzbrój w nie serce i wtedy dopiero patrz w serce poety. Zobaczysz obraz nieco odmienny, a pod zwierzchnią szatą postaci cudzych i z cudzego teatru na scenę wprowadzonych — ujrzysz własne Słowackiego twory.

Ten bajronista potrafi może, jak jego pierwowzór, zrywać barwę z obłudy i szalbierstwa — ale gdy uderza innych, sam uczuwa ból. Przebacza wszystkim i sam o przebaczenie prosi. Każda niechęć kończy się pojednaniem. Duch jego — pełen pokory i pełen rzewnego płaczu nad ludźmi. Nie występuje ani w »Beniowskim«, ani w »Podróży«, ani gdziekolwiek indziej przeciw Bogu i światu:

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy.
Czy jeszcze w żłóbku matka go kołysze?
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję, klęknę i na twarz upadnę.

Jego duma jest obrażoną godnością i poczuciem doznanej krzywdy. Jego walka tytaniczna, to — jak sam mówi w liście do matki — »walka z obojętnością ludzi«, lecz nie rokosz Kaina lub Manfreda. Nie odsłania też nigdy uciechy zmysłów i nie lubuje się w rzeczach rozwiązłych. Nie pozuje na niezwalczonego zwycięzcę kobiet, lecz z całą szczerością wiecznego

łaknienia — tęskni i jak Arab zazdrości i z całą świętością uczucia — maluje je idealnie. I w gruncie rzeczy zawdzięcza Byronowi nie więcej, niż wszyscy ówczesni poeci — korzysta z jego formy dla rozprawienia się z nieprzyjaciółmi i intrygami, podobnie jak Byron korzysta z karnawałowych »Capricci« Ariosta. Wlewa w nią treść, jeżeli burzliwą — to swojską, jeżeli osobistą — to głęboko odczutą, jeśli żałosną, to tak, że rozdziera serce, jeśli gniewną, to oburzeniem płomienistem archanioła, lecz nie cynicznem szyderstwem fauna. Cały jego ustrój duchowy był przeciwny byronizmowi, sfera uczuć zasadniczo różna, — mógł więc śmiało brać odeń modną pozę i efekta, ażeby je potem zaliczyć wraz z spleenem i wrzekomym szatanizmem do swych chorób.

A w jaki sposób przetwarzał, przeobrażał motywy zapożyczone, to widać najlepiej z porównania z Szekspirem.

Co nas uderza w »Mazepie«, to niezwykłość wątka tragicznego: pazia królewskiego zamurowują w alkowie; syn ginie z rozkazu ojca i z miłości dla macochy; zakładnik odzyskuje wolność, lecz przywiązany powrozami do grzbietu dzikiego rumaka; opętany szałem dumy wojewoda otacza się dobrowolnie trumnami najdroższych osób. W »Beatrix Cenci« znowu miłość, przypominająca Romea i Julię, wiąże się z ojcobójstwem i widmem strasznej, zwyrodniałej chuci ojca. Tam córka we śnie ściele cieniowi ojca trumnę zamiast łoża i przykrywa go »wiekiem na wieki«. W »Lilli Wenedzie« trup w skrzyni zamiast harfy, owdzie trup w szafie. Horsztyński żyje pamięcią oczów swych, wykapanych gromnicami, a syn jego prześladowcy romansuje z jego żoną. Przed Wallenrodem wrzekomo shańbionym, ucieka dziecię, nieprzeczuwając w nim ojca... W »Balladynie« trupy na trupach i zbrodnia na zbrodni. Wszędzie węzeł tragiedyi wyszukany, fantastyczny, jakby się urodził z halucynacyi, że wołać się chce ustami Beatryczy: »Okropność! Trumny otwórzcie się jedna po drugiej«. Czyż tak pojmował tragiedyę Szekspir? Bynajmniej — kładł on śmierć u kresu długiej walki żądz i uczuć, którą przeprowadzał z intuicyą gienialnego psychologa i z żelazną konsekwencyą dopiero na końcu topił we krwi. Były to niby prawzory różnych rodzajów wielkiej pasyi i ich koniecznych

dróg. Natomiast Słowacki umieszczał upiora śmierci w samym środku dramatu i kazał mu straszyć przez cały ciąg akcyi, siać grozę i szalenie zaciekawiać i rozdrażniać. Tu prawda psychologiczna znacznie mniejszą gra rolę, ale za to większą — okropność, paradoksalność wypadków, tem jaskrawszych, że nie dosyć usprawiedliwionych. Poeta zarzucał swój dramat płonącemi żagwiami i kazał mu palić się w kilku miejscach naraz, jak bombardowane okręty. Ale zarazem każe nad nim grać nieśmiertelnym melodyom miłości, słodzi i rozpieśnia bolesny zamęt harmonią wdzięku kobiecego. Tu Amelia — jak wierzba płacząca, tam druga Amelia (Horsztyński), jak smutna kalina, owdzie posępnie miłosna Beatryx, gdzieindziej Judyta, »róża Saronu, konwalia pachnąca wolnością i weselem«, to znowu »Marya Stuart« — wszędzie miłość kobieca bądź tęskna i elegijna, bądź szalona i fatalna. Nawet gdy poeta nie opiewa miłości — jeszcze bohaterką czyni kobietę, jak Balladynę, Różę i Lillę Wenedę. Pięknem niewieściem opromienia wszystkie tragiedye, jak białą, słaniającą się lilią lub różą płomienną.

Te cechy określają nie tylko stosunek Słowackiego do Szekspira, lecz i do innych tragików i poetów, a zarazem charakteryzują jego dramatyczne liryki, czy to będzie Anhelli, czy W Szwajcaryi, czy Beniowski z Anielą. Pomysł, wzięty ze skarbnicy gotowej poezyi, ubarwia, jak swojego Wacława, bądź strachem, widmem i krwawem milczeniem przedmiotów, bądź przepychem lirycznych kwiatów. Upiększa w dwójnasób męki nieszczęśliwych ojców zadżumionych.

Nie zadawalają go w »Panu Tadeuszu« generałowie, więc wprowadza samego Bonaparta. Dziwi się, że Byron malował krajobrazy na miejscu, a nie według »imaginacyi i sennych przypomnień«, które łączą pół na pół rzeczywistość z piękniejszem od niej urojeniem pierwotnem (List 8).

Słowem, każdą nutę cudzą rozkłada na całą orkiestrę dźwięków i kolorów i przerabia na coś nowego, niesłyszanego. I postępuje z nią tak samowolnie i świadomie że widoczna,

jest, iż arcydzieła poezyi uważał nie za pewne określone twory, lecz za formy i rodzaje, które wolno każdemu przyswajać sobie i rozsnuwać w nową przędzę. Swoboda, z jaką przyznaje się raz wraz do wzoru aryostycznego, do Szekspira, »Eschylowych wyrazów«, do byronizmu, harfy Homera, sofoklesowego »niestety« w sensie fatum tragiedyi greckiej, do »pół-posągowej formy Eurypidesa«, lub z jaką przeciwstawia swój nastrój »chmurom dantejskim« — świadczy aż nadto wymownie o tem jedynem w swym rodzaju, nawskroś artystycznem, dziwnie wolnem od małoduszności — stanowisku. Rozumiał on, że nie temat i osnowa czynią gieniusza, lecz jego organizacya twórcza, i że korzystać z odkryć, któremi są wiekopomne dzieła sztuki — wolno temu, kto w nie taką pełnię własnej, nowej duszy wlewa.

Jeżeli więc w jego zwrotach ku różnym światłom poezyi znajdowała czasem upust niecierpliwość, niemożność czekania aż własne płody dojrzeją i wyklują się gotowe do życia, a żądza sławy parła do skrócenia sobie drogi i zahaczenia się o dzieła mocne i pewne — to jednak zarazem widział w nich jeno grunt, na którym posiać trzeba nowe, piękniejsze i bardziej bujne rośliny. Jest on jak wielki artysta ogrodnik, który patrzy oto na zagony skromnie wyzłacane i wysrebrzane zbożem i powiada: »Ależ to ziemia ogrodowa, ziemia rajska — ja ją zamienię w fiołkowe pola Parmy, w japońskie, jak krew szkarłatne niwy tulipanów i złocieni, w plantacye prowanckie róż, storczyków i hyacyntów, w śnieżne bezmiary narcyzów i niebiosa błękitnych irysów.

I tak właśnie uczynił. Między jego wzorami a tworami własnemi zachodzi różnica, jak między zwykłym sadem, a ogrodem złotych jabłek Hesperyd. I uczynił tak wreszcie z historyą polską, którą postanowił wypełnić potęgą czarów, muzyki, miłości, ballad i upiorów. Jego haszyszowa wyobraźnia nie znosiła widoku rzeczywistości — zarówno w miejscu, jak w czasie. Więc całą sferę piękna chciał upiększyć, a przeszłość rodzinną zamienić w czarodziejski łańcuch poematów. Ucierpiała na tem prawda, jasność, strona rzeźbiarska, ale wszystko nalało się czerwonym sokiem lata, jak dojrzewający granat, Ze wszystkich rzeczy brutalnych i szpetnych, bezbarwnych lub

bezdźwięcznych poeta uczynił to, co się stało z Wodanem, synem Pychy, żony Piastowej (Rzepichy) w Królu Duchu: choć go anielscy goście kołodzieja w błogosławieństwie ominęli i skazany był na to, aby być w życiu swego narodu zgrzytem,

Ale się z niego w Słowiaństwie rozwinął
Ów cały dziwny smętny ton słowiański.



III.

Snem piszę a z mgieł rozjaśnionych biorę,
I moją własną kwitnącą naturą
Nieznane dotąd oceany porę.

Król Duch. Rapsod III.

Czy możnaby złożyć owo »czarnoksięstwo myśli«, odbite piorunami i łuną na niebie, a krwią i mistycznem kwieciem na ziemi — na podniety zewnętrzne, na ten krajobraz życiowy, który się rostaczał dokoła Słowackiego? Nie sądzę. Gdyby zewnętrzne otoczenie wypadków i zjawisk było tym kamertonem, który stroił harfę poety — nie wyśpiewałaby ona ani setnej części tych chórałów burzy i elegii serca, nie odmalowałaby ani setnej części tych szalonych fantasmagoryi barw. Jaskrawość jego fantazyi przerasta olbrzymio jaskrawość sceny, na którą swem życiem patrzył. Snać ta fantazya była niby jakieś u nieba zawieszone wahadło, które dosyć było najlżejszym wietrzykiem poruszyć, ażeby wnet rozkołysało się w globowe rzuty i zaczęło toczyć w powietrzu bezmierne kręgi. To znaczy, iż wyobraźnia jego była jak zaranie przyrody — olbrzymim chaosem płomieni i sił, które za lada wewnętrznym rozkazem: »Niech się stanie światło!« biegły szykować się w światy, w żywe kalejdoskopy dramatów i pieśni.

Gienjusz Słowackiego uważam za najbardziej podmiotowy ze wszystkich znanych. Jak jedwabnikowi potrzeba za całe oparcie zewnętrzne liścia morwy, aby całe tkaniny złotej przędzy wysnuł sam z siebie, tak i jemu lada wątek dziejów, legendy lub własnych pragnień i tęsknot starczy dla stworzenia kokonu, z którego lśniące włókno rozwijać można do nieskończoności — tak jest obfite. Może więc mówić słowami »Króla Ducha«:

W iskrze duchowej niby w dyamencie
Mając boleści różnych tajemnice,
Kolory, krzyki, jęki i błyskawice.

Ten dar szczególny Krasiński nazwał »wewnętrzną melodyą ducha« niejako przeciwstawiąc ją posągowej plastyce Mickiewicza. Określenie przepiękne i trafne. Świadczy ono o dokładnem pojęciu, że Słowacki posiadał dziwną poezyę czucia i myśli, że idee układały się w jego umyśle w śpiewną lirykę i falowanie obrazów, że miał niby jakiś rytm psychiczny, a zarazem jakieś stale napięte struny, z których najlżejsze tchnienie wydobywało cudne dźwięki, jak z baśniowej harfy Eola.

Ta wewnętrzna symfoniczność ducha jest niewątpliwie fenomenem. Lecz trzeba określenie, dane przez twórcę Trzech Psalmów, rozszerzyć i uzupełnić tem, iż oprócz nieskończonej melodyi, oprócz harmonijnego następstwa tonów poeta miał w swej duszy potężny a wielce złożony kolor tej melodyi. Ale i o tem wiedział autor »Kilku słów o Juliuszu Słowackim«, bo mówi na innem miejscu, iż był to muzyk i kolorysta. My dzisiaj, w pół wieku później, możemy jeszcze lepiej ocenić całą wagę tej kolorystyki. Bo dziś muzyka marzy o Böcklinowskim przepychu barw, a orkiestra, coraz liczniejsza, koloryzuje melodję i wydobywa niesłychane kombinacye plam barwnych, dawna zaś Mozartowska prostota i przejrzystość nie starczy.

To, co powstało z natchnienia muzycznego, powinno też być brane zmysłem melodyi wewnętrznej. Słowackiego należy czytać wzrokiem duszy, nie wzrokiem widza teatralnego. Dla tego jego tragiedye przeważnie nie znoszą miary świata rzeczywistego. Nie należy więc spodziewać się po nich wielkiego tryumfu na scenie. Każda z nich zawiera wprawdzie mistrzowskie i dosadne pod względem rysunku epizody — jak prawie cały »Mazepa«, »Złota czaszka«, »Horsztyński«, »Niepoprawni«; ale w ogólności szkoda ich dla widowni. »Balladyna« zatraci swe czarnoksięstwo i urazi zmysł prawdy, »Lilla Weneda« rozwieje lub pogrubi swą anielskość, z tego, co jest eterem, uczyni grubą mleczną mgłę, muzykę zamieni na ludzi — obie zaś obudzą tysiąc pytań krytycznych, które przy czytaniu nie śmią i nie mają zasady szemrać. Wogóle zapytać można, czy

wolno muzykę, mowę nieziemską i postacie, jak z mirażu utkane, gwałtem wcielać w kształty ziemskie, czy siła wrażenia w ten sposób wcielonego nie będzie okupiona gatunkiem wrażenia? Czy perły nie zamienią się w kamyki, a konchy w skorupy żółwie?

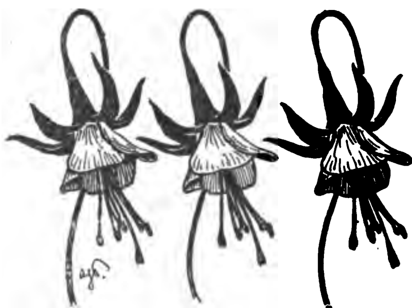
Ale im bardziej fantastyczny jest twór poety, tem usilniej domagamy się zwykle jego widoku — taka już natura nasza. Wobec Słowackiego więc wzrasta jeno owa wewnętrzna potrzeba i płonące jego dramaty pomkną na scenę same — prędzej czy później. Lecz dobrze byłoby po każdem takiem przedstawieniu oczyszczać swój zachwyt przez odczytanie utworu w książce.

Płynie stąd pewien jasny domysł. Tam gdzie poeta nie był krępowany względami na miejsce i warunki sceny i nie myślał zawczasu o tem, by słowo stało się ciałem — dziwna falowność jego uczucia dokazuje cudów. Gdzie mógł naprawdę »pisać snem« i zatracić pamięć desek, kulis, niecierpliwości przybyłych dla zabawy — tam wzrusza do głębi każdem słowem i każdym obrazem czaruje. Takim snem są dlań wspomnienia — te sny rzeczywistości — własnych i cudzych bólów i tęsknot. Mógł je snuć i rozsnuwać w takt rytmiki wewnętrznej. Mógł je wygrywać i jak arye powtarzać, zwijać i rozpowijać, spiętrzać, rozłzawiać i rozpylać je i rozpromieniać na całą naturę — i naodwrót całą naturę wciągać w skargę lub marzenie, ażeby wtórowała wszechświatem, jak las wtóruje fletni pastuszej. Tu wreszcie mógł z całą nieokiełzaną swobodą łączyć wylew liryczny, brany z własnego podmiotu, z kalejdoskopem tęczowych świateł natury. Stając wobec bolesnej przeszłości »Ojca zadżumionych«, »Wacława«, bohatera »W Szwajcaryi« lub »Anhellego«, wydobywał z łona własnego pieśń skargi, a z łona przyrody — sympatyczny wtór żywiołów i wszelkich żywych i czułych stworzeń.

Dlatego pewnie najwspanialsze swe liryki wyśpiewywa w osobie pierwszej. Nie byłoby to zbyt dziwne »W Szwajcaryi«, gdzie główną treścią jest bezbrzeżna, najpewniej własna, tęsknota za utraconą kochanką; możeby i nie dziwiło tak bardzo w »Beniowskim«, ile że forma jego opowieści miała swego ojca chrzestnego w Byronie. Ale już jest znamienne,

że »Ojciec zadżumionych«, ten przez straszny los gorzej od Hioba i Nioby poszarpany, ma siłę opowiadać sam o sobie. Obraz strasznej wiwisekcyi, której na jego sercu dokonała dżuma, spychając go przez trzy miesiące w coraz głębsze odmęty żałoby i sieroctwa, zyskał dzięki oprawie podmiotowej niebywałą moc wzruszania. O sobie też opowiada »Mnich« i wiele szczerszym tchnący bólem »Arab«, co sam nieszczęsny, nie może znieść szczęścia cudzego. A najciekawsze, że jeden z najszerzej zakreślonych utworów, poniekąd najwyższe natężenie władz twórczych poety — »Król-Duch«, o swoim odwiecznym locie przez dzieje obce i polskie opowiada sam. Prawda, że tu wchodzi w grę okoliczność nowa, iż ostatniem wcieleniem Króla-Ducha miał być sam Słowacki, wieszczący całą wielką przeszłość, ale czyż to, że stopił swoje »ja« w jedno z sercem, z osią historyi, że zajął czoło epopei, nie świadczy o czemś szczególnem — że najpewniejszym i najbardziej natchnionym się czuł, gdy sam siebie pod bohatera podstawiał? gdy mógł zwracać się do świata z całą szczerością wezbranych uczuć, z całą szczodrotą rozlewnej, wszystko swym żalem zatapiającej duszy?

Wszędzie więc, gdzie poeta może stanąć przed naturą i wyciągnąć do niej ręce z żałości, tęsknicy, rozpaczy lub wezwać ją na świadka swej niedoli, podobny jest ślepemu bardowi, który, że nie widzi, więc tem silniej czuje tętno życia dokoła i tajemne rozhowory duchów.



Dlatego zdawało się ojcu zadżumionych, że słońce słońcu nierówne złotemu i już nie takie, jakie było wczora, ale podobne do słońca upiora; że wróble przestały się zlatywać na żer do jego namiotu; dlatego słyszał po nocy przeraźliwe wycia hyen, a twarz starego sługi-wielbłąda wydała mu się tak litośną, że rozpłakał się, jak dziecko głośno. Przecudna to gędźba litości wszystkich pięknych istot:

W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: Starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze, gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha
A potem wszystkie będą mię pytały echa
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?

I taką samą kaskadą łez, które padając, budzą muzykę pejzażu, jest całe »W Szwajcaryi«, najrzewniejsza i najbardziej liliowa z elegii, obok której postawić można chyba tylko »Adonais« Shelleya. Trzebaby ją całą wypisać, chcąc dać próbę przecudnie wonnego, smętnego panteizmu jej żałości. Tu każdem słowem i każdym obrazem pieścić się trzeba, jak muzyką o tyle śpiewną, o ile wzruszającą do głębi; kto wrażliwy na taką melodyę, w tym może ona zerwać z łańcucha i wyuzdać tęsknotę aż do obłąkania, aż do dzikiego płaczu, jednocześnie czarując go fantasmagoryą przepysznych, tęczowych krajobrazów. Czar tej pieśni tem większy, że tak nagle przerwanej — działa wstrząsająco. Każdemu poruszeniu duszy, każdemu porywowi, pokusie miłosnej, obawie lub zgryzocie sumienia towarzyszy harmonia natury. Jaki szeroki i wspaniały rytm, jakby hejnał zdobywania niebios dźwięczy w tym wstępie na wyżyny miłości i Alp:

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory

Jungfrau i słońce złote ma nad sobą!
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory,
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury!

A jaką niemocą i omdleniem, równem łkaniom Franceski z Rimini w Piekle Danta, kładą się te podcięte przedwcześnie kłosy, to »serce rozdarte i krwawe«, które woła rozszlochane:

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O, nie pytajcie wy mię smutne o nią,
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią

I szuka tylko w śmiertelnym swym żalu — miejsca, dokąd przyszedłby pod ławę księżyc złoty i tak załaskotał tajemnie duszę, że stęskniona uleciałaby.

Do tej samej liczby tworów elegijnq-harfiarskich należą cztery postacie muzykalne: Ellenai, słodka nawrócona, co chciałaby być po śmierci pająćzkiem miłym samotnikowi, by doń schodzić »po złotym promyku słonecznym«, Anhelli, »harfa z porwanemi strunami«, seraf, któremu pierwsza lilia na grobie ojca była rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki — siostrą młodszą; Eloe, co po śmierci jego siedziała nad zmarłym z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach, i cudotwórczy, szlachetny szaman. Poeta, jakgdyby oczyszczony skruchą Anhellego po wszystkich żalach i skargach na ziemskie cierpienia — sam staje przed słuchaczami w szacie białej, nieskalanej, anielskiej, strząsa z siebie wszelkie ziemskie ozdoby i próżnostki, mówi rytmem Pisma Świętego, ewangielicznie prostym i jak łza czystym, i wznosi się na szczyty tworzenia dziwnie uroczystego i świętego. Przejęty i rozbolały smutkiem północnego całunu śniegów, odrzuca mu napowrót bezmiar białej jakiejś melancholii. Płaczą tam litośnie reny, a w krótkim dniu z jękiem przeciągają mewy; ptaki świetnieją na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy; a »księżyc opuszcza się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu«.



Rzecz prosta, iż taki głęboki i na naturę roztchniony smętek mógł się zjawić dopiero wtedy, gdy jad życia dobrze się zagnieździł w sercu poety. Nim to nastąpiło — cykutę zastępowała wrażliwa intuicya. W owym, bardzo wczesnym okresie swej twórczości Słowacki pisał swe »powieści« litewskie, podolskie, ukraińskie i grecko-tureckie, wysyłał swą wyobraźnię na kresy i tworzył obrazy wspaniałe i wolne jak stepy. »Żmija«, »Jan Bielecki«, »Wacław«, »Hugo«, »Kulig«, »Arab«, »Lambro«, »Mnich« i dramat »Mindowe« stanowią rodzaj cyklu o tchnieniu świeżem, poetycznem i młodem, ale w nim pobrzmiewa jeszcze ten rodzaj opowiadań, na które złożyły się razem »Konrad Wallenrod«, »Grażyna«, »Korsarz«, »Paryzyna«, »Marya«, »Zamek Kaniowski«. Duchy Byrona, Mickiewicza, Malczeskiego, Goszczyńskiego, a może i Walter Scotta królowały w tem zaczarowanem kole motywów epicznych, w których wabi głównie koloryt miejscowy i miłość z bohaterstwem rycerskiem złączona — ale rzadko kiedy przebija się otwarta pełnia uczucia. W nich poeci zawsze przywdziewają jakiś strój obcy i zawsze nucą jakąś pieśń już gasnącą, którą dopiero ożywić potrzeba. Dzisiejszy liryzm bezwarunkowo szczery i bezpośredni, jak wybuch łez lub lawy — sprawia, że one już nieco mgłą zachodzą i nabierają szacownego piękna stylowego, jak stare pasy słuckie. U Słowackiego jest to tem naturalniejsze, że pisząc je, był zaledwie dojrzałym.

Już i wtedy lutnia jego »nastrojona fantastycznie wtórowała myśli posępnej i cichej«, ale gdy oderwał się od tła rodzinnego i stracił niejako ziemię z pod nóg, jeszcze gęściej owijał się obłokami dymów delfickich, zrozumiał zwierzchnie, udzielne prawo poety — pisania snem i tworzenia cudów. Wtedy związek jego z naturą staje się głęboko serdecznym, a dar zaklęcia — czarodziejskim. Wtedy uczucie i marzenie wezbrane nie mieści się w łonie i elektryzuje naturę; różdżką magiczną porusza wszystkie cudowne zjawiska i stworzenia i wprawia je w pląs fantastyczny, ażeby były pomocne akcyi jego dramatów lub służyły im za chór wtórujących harf. Ma na swe rozkazy, jak Balladyna, duchy wdzięczne, wesołe i psotne, albo jak Rogneda, matka Mindowy — tragiczne, które wzywa sypanem w świątyni pogańskiej kadzidłem ażeby

skrzydły swemi zwaliły puszcze białowieskie i zapaliły lasy ogniem gromu.

Ten styl druidyczny, styl harfiarski, jest »umysłową twarzą« Słowackiego. Dzięki niemu wszystkie skargi zamieniają się w Dawidowe inwokacye, w panteistyczny, wszechboży rozlew czucia osobistego na otaczające duchy przyrody.

Wtedy opanowywa go istny szał romantyczny, stałe upojenie haszyszowe i pół-nieprzytomność wizyonera. Wtedy jego miłości są nawskroś romantyczne, romantyczny jego panteizm, romantyczne jego ukochanie historyi. To nie tyle romantyzm minstrela lub trubadura, ile kapłana-druida, który śpiewa hymny do natury i odprawia modły w otoczeniu omszonych, odwiecznych głazów, w grocie — druidycznej, podobnej do grobu Agamemnona (Zaklęcia Rozy Wenedy w chórze dwunastu harfiarzów).

Słusznie możnaby powiedzieć, że Słowacki był powołany do odegrania roli głównej w całej epopei romantyzmu wieku naszego. W żadnej literaturze żaden inny poeta nie oddawał się tak całą duszą i całą wiarą — cudom i niezwykłościom, nie kochał ich tak anielsko-naiwnie i przeczysto-dziecinnie, ale zarazem tak głęboko i z takim trawiącym duszę i ciało ogniem, z takiem zapomnieniem o świecie rzeczywistym. Samemu zdawało się, że ta pasya cudowności jest towarzyszem lat młodocianych, że tylko »dopókiś młody, bawią cię ballady, poezya gminna, chmury, księżyc, gady«.

Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w której wiersze brzęczą, jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca.

Lecz takim młodym pozostał, jak wiadomo, do ostatniego tchnienia. Tem jeno preszkadzał zbudzeniu się czujności, że pędził i galopował i nie dawał ani sobie ani innym czasu do namysłu: »Strofa być winna taktem nie wędzidłem«. Czujemy to dobrze w »Beniowskim« i »Królu-Duchu«, i szał wichury i nam się udziela.

I nie pomogło na tę szczytną manię i to, że nieraz w cudzych drwinach i niedowierzaniu przeglądał się jak w zwierciadle. W przedziwnym dramacie »Niepoprawni«, gdzie występuje jako Fantazy, daje przepyszną karykaturę własną i pozwala nazywać się »Potrzebnickim zdrowego sensu«. Roz-

myślnie z każdego wątka rozmowy Fantazy zbacza na rozdroża poetyckich cytat, uniesień, porównań, jaskrawości i tak zasypuje ludzi swą panteistyczno-malarsko-romantyczną fantasmagoryą, że proszą go, ażeby dał pokój tej »Kaszy z gwiazd, dyamentów i kwiatów« i gadał bez żadnych floresów.

Fantazy:
Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...
Rzecznicki:
Bądź zdrów bałaguło,
Który handlujesz końmi Apollina!

Lecz ta swawolna samowiedza, tryskająca racami świetnych dowcipów, podesłana jakąś niewysłowienie sympatyczną żartobliwością — płynęła zarazem z dumy, z przeświadczenia, że go otacza tłum »szarych gospodarzy«. Nad współdrganie takich serc wolał »gwiazdę swego losu obłąkaną«, nad pochwały wieszczów nowych — sybirsko-lodowatych«, własne wino, upajające na śmierć, ażeby potem wskrzeszać, i sen, choćby smutny:

I zasnę — zasnę — ha! — Lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!



IV.

Gdyby Słowacki zmartwychwstał i ujrzał się z łaski szperaczów otoczonym »girlandą« cudotwórców pukającego stolika, możeby sobie przypomniał posępny gieniusz Bonapartego, straszną kometę, za którą wlecze się długi ogon profesorów. Możeby oczyma duszy ujrzał ten obraz — z Nilem i piramidami w dali, — o którym opowiada jego Grzegorz:

Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: »Osły i uczeni«!
Chowajcie się w kwadraty! Dalej za pas nogi!

Być może, iż ci wszyscy mędrkowie, »co jak truflów — wietrzą kamieni«, ci kramarze, sprzedający podrobionego ducha, a w gruncie rzeczy czciciele bezducha, podsunęli mu jaki efektowny obraz albo zapośredniczyli w poznaniu tajemnych nauk z nad Gangiesu. Wiadomo, i poeta sam o tem opowiada, że wciąż »czytał, czytał i czytał«, ale w jego wszechpoglądzie to jeno z cudzego okultyzmu zostało, co mogło płynąć i z innych, wyższych źródeł. Były zaś niemi: wrodzony idealizm, albo raczej pewnego rodzaju animizm lub panteizm — wysokie poczucie moralne, które zawsze opromienia wszechświat, wypięknia go i przekształca w żywioł duchowy, a dalej, wielkie prawdy i przeczucia wiary chrześcijańskiej, wielkiej twórczej filozofii niemieckiej i wreszcie własna ekstaza, jasnowidztwo przeduchowionego nawskróś poety, który z natury posiada wzrok patrzący dalej — w przyszłość, i ma prawo narzucać jej swoje wzory i obrazy. Natura fizyczna Słowackiego, wątła płonka egzotyczna, uspasabiała go szczególnie do melancholii i obcowania z nieskończonością. Tych natchnień starczyło zu-

pełnie, ażeby w duchu jego dźwignąć dwa alabastrowe całokształty pojęć o świecie i duchu i potrzebach duszy.

Pierwszy — to wcielenia pragnień, uświęconych z dawna przez naukę: rozwój i przemiany w naturze zwierzęcej dla postawienia na jej szczycie — człowieka, poczęcie wszechrzeczy z ducha, ażeby w nim też znaleźć cele ostateczne, »finalne«, dążność świata do doskonałości poprzez manowce i zakręty i poprzez okresy smutne, wsteczne i bolesne. Duchowość i pokrewieństwo duchowe wszystkich stworzeń i bytów, nieśmiertelność i niespożytość ducha — są to wyrazy odwiecznych dążeń myśli dociekającej, zarówno wschodniej, jak zachodniej, zamierzchłej, jak nowej. Potwierdziła je w głównych swych typach — filozofia: w Platonie, Spinozie, Leibnitzu, Heglu. Ich księgi kryją w zarodku wszystkie najśmielsze domysły o cudach duchowych, wykwitające koroną mistycyzmu w nowej poezyi, sztuce i psychologii. Nie darmo po dowody dla wiary w jasnowidzenie sięgamy do Kanta, jak po dokumenty jej starego rodu — do Indusów i Egipcyan. Podobnież idea rozwoju istniała o lat tysiące wcześniej, niż dzisiejsza teorya rozwoju. Nie trzeba było dopiero wpływu mistyków francuskich, ażeby usposobić Słowackiego do wiary w przemiany ducha, — wyssał ją z ewangielii, która z czasem zastąpiła mu wszystkie inne gwiazdy przewodnie. Opowiada z lubością matce, że Rafael kazał sobie Transfiguracyę nad trumną powiesić; sam wziął ją z własnego doświadczenia wewnętrznego; wiedział, że się wciąż przetwarza, i dziwił się zapomnieniu przyjaciół, że zamienił ornat na tarczę (Sen Achillesowy), a tarczę na paletę, co uważa za ważną wskazówkę zarówno w »Wykładzie nauki«, jak w »Listach«.

Drugi całokształt — to świątnica na pozór bardziej wątła, ale niemniej przeto trwała i wiekuista: cudowne własności duszy w czasie i przestrzeni. Wyposażona jest tam we wszystkie moce i czary boskości: potrafi przeczuwać i wróżyć, znosić się z zaświatem, potrafi we śnie zakradać się w plany nieszczęść i żałoby, grożące najbliższym. »Bo ja czuję przez i pomimo przestrzeni«. Słowacki wierzył głęboko w sny, i straszne były jego niepokoje o ubóstwianą matkę, ilekroć mu się złowieszczo ukazała w widzeniu sennem. Prowadził

dzienniczek snów i przywidzeń na jawie, tych »powiewów ognistych z niewidzialnego świata« (»Listy«). Widział raz ogromny ogień nad głową, niby kopułę niebios, zapełnioną ogniem, i przerażony był mocą »Chrystusa, już na ten świat nadchodzącego«.

Duch Słowackiego pokonywa odległość i odgaduje bliskość drogich sercu istot, a nieraz wyprzedza rzeczywisty byt na ziemi w ten sposób, że jeszcze w przedistnieniu łączy się przyjaźnią z innemi duszami. Takich wytworów głodu wiekuistości, takich ucieleśnień mistycznego łaknienia nauka może pod skrzydła swe nie weźmie — albo jeśli weźmie, to uznawszy wprzód przewodniki mniej więcej mechaniczne, materyalne, jak fluid gwiazdowy lub siła medyum. Słowackiemu jednak sterem były nie nauki tajemne, lecz wewnętrzny, potężny głos Boga i Chrystusa. »Bo wola moja iść przez Boga, nie przez ziemię«. Tego samego dnia, kiedy ogłosił w klubie sztandar Mesyanizmu za swój, ukorzył się któryś z przyjaciół, »jeden z najtwardszych w materyalizmie« i wyznał, że przed śmiercią ojca swego — ujrzał jego ducha w pół-śnie. Poeta zaś na wytłumaczenie tego cudu wziął Ewangielię i przeczytał o wskrzeszeniu syna wdowy w Naimie. Czyż to nie znamienne, czy taki człowiek mógłby być słonecznikiem, obracającym się za światłem mędrków?

On, co chciał zostawić ludziom nowy zakon — »Gienezis z ducha« i nową naukę apostołować (»Wykład nauki«)? Onby się nadał być echem teozofów i powtarzać wymozolone w gabinetach koncepty? On, co trzy razy wyśpiewał własne »Credo« (w osobnym wierszu), w »Podróży na Wschód« (gdzie drwiąco mówi: »wierzę w jezuicką reakcyę«) i w »Beniowskim?« Ale ogół nasz i krytyka dziwnej trzymają się względem niego taktyki. Niemasz takiego pigmeja, uronionego na drodze poety przez traf, ażeby się nim nie zajmowano na równi z samym Słowackim. Czy to ma być nagroda i odpowiedź na prometejski jęk: »Gdybyś mię widział, Narodzie, jak ja samotny byłem i ponury?« Czy dlatego, że mógłby wołać zarazem słowami innego poety: »Nie tykaj ran mych, bo mię one bolą« (Faleński) — każdemu kamratowi pozwalacie obmacywać jego mimozowe ciało? Toć nie jest on »tylko ro-

baków Bogiem i tego stworzenia co pełza«. Możeby więc godziło się przestać już raz rzucać jego nieśmiertelnego ducha w czyściec podjadków i tuczyć ich jego sławą?

Duch ludzki, party własną prężnością, zrywa tamy krępujące, kruszy pęta ścisłej nauki i rozlewa się swobodnie, błądzi marzycielsko i tak koniecznie do tych urojenie szczęśliwszych przystani zawija, jak ptactwo wędrowne zawsze na zimę do ciepłych krajów podąża. Cóż bo jest szczęście dla natur o zakroju etycznie idealnym? To, co o niem myślał Słowacki: »Szczęście jest to ruch wewnętrzny ducha i wywieranie miłości nazewnątrz« (Listy). Dar przeczuć i jasnowidzeń — dar proroczy, we wszystkich objawach jest stałym szczytem, do którego wspiąć się pragnie dusza w swym odwiecznym i uporczywym locie. Choć wysoko w rozrzedzonem powietrzu tchu jej nie starczy, to jednak mistrz — iskra Boża unosi się wciąż wyżej, jak w owym balonie Sully Prudhomme'a:

Łaski! Krew mi zastyga w żyłach. Ledwie dyszę.
»Wyżej!« »O mistrzu, stańmy!« »Nie, leć w sfery wyższe!«
»Okrutny, jeszcze?« »Wyżej niewolnico!« [1])

---

[1]) Przekład Langiego.

Słowacki nietylko z namaszczeniem i religijną pokorą, ale i pół żartem do takich stanów nadprzyrodzonych, zaświatowych się przyznawał w tych samych »Niepoprawnych«, gdzie szkicuje węglem swój portret na wesoło. »Być może — mówi Fantazy do Hrabiny, przypominającej sobie, że go kiedyś poznała — żeśmy się znali przed śmiercią«. Na co ona:

Słyszałam,
Że pan jest mistyk —.teraz się założę,
Że pan jest mistyk. Ach! jak ja się bałam,
Że pana znajdę mistycznym.

A gdzieindziej znów Fantazy niby cudownie zgaduje obecność Idalii, ukrytej za drzewami:

Niechaj piorun mnie uderzy!
Chociaż sznurek koralowy noszę
Od złego oka, słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyścowej duszy.

Tam wogóle jest on tylko swawolnym duchem i innych jako duchy traktuje. Kiedy na oświadczyny odbiera od Dyany odpowiedź przychylną — chodziło o ocalenie jej rodziców od ruiny — lecz szyderską i gryzącą, słyszymy rozmowę:

Rzecznicki:
Wiwat! A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

Oto co uważam za cały wstęp i komentarz do Króla-Ducha. Tylko w własnej potędze mistyczno-twórczej Słowackiego szukać trzeba rozpędu i rozmachu do tej śródniebnej jazdy przez dzieje Polski — i w jego własnym ustroju.

Ale co to pomoże, kiedy Król-Duch jest niezrozumiały, niejasny? Oczywiście ktoś poplątał struny harfy, ktoś mu omgławił wyobraźnię i zamącił krynicę natchnienia?

Fantazy.
Duchowi memu dała w pysk i poszła!

W sposób podobny maluje swą siostrę po duchu — hrabinę Idalię, której talia jest do połowy z mgły, druga połowa bez kości, sprężyn, sama siła skryta, »idąca naprzód«. Więc ich gruchanie brzmi osobliwie:

On. »Duchu! w ręce twoje, w twe usta ducha mego!«
Ona. »Z błyskawicy twe usta, duchu mój!«

Oczywiście zatem pomysły właściwego cudotwórczego mistycyzmu nie miały dla poety wagi ustalonej, pewnej. Widać to aż zbyt dobrze z tonu przytoczonych dowcipów i lekkiej ich ironii. Lecz widać zarazem i to, że jeśli czyni sobie igraszkę z »mistycyzmu«, to jako czegoś modnego, jako pewnej, co prawda, wzniosłej i powabnej, obiegającej literaturę manii.

Lecz wystawiając ją na szyderstwo, zarazem uprzedza je i obezwładnia własną swą jowialnością. Prawdziwego natrząsania się nie zniósłby i wolí udawać poufałość w stosunku z gawiedzią, ażeby na dnie duszy zachować dla niej — pogardę. Chciałby jeszcze zejść się z Rzecznickim, »famulusem swego faustyzmu«, ażeby go wydrwić i postawić na swoim grobie »posągiem drwin«.

Była to pewnie odpowiedź zjadliwa i niezasłużona na głębokie przestrogi Krasińskiego, który, widząc tumaniący, jak sądził, wpływ towiańszczyzny, pisał Słowackiemu, że w cuda wierzy, ale nie wierzy w cudotwórców. Myśl piękna i prawdziwa była przez biegun przeciwległy, przez egzaltowanego duchowidza źle przyjęta. Ale Słowacki rychło się sam z zewnętrznych suggestyi otrząsnął. Z »Kołem« zerwał i w dalszym ciągu moc prawodawczą zostawiał własnemu ja i natchnieniu Ducha Św., własnej wyobraźni. Gdy bracia odbywali praktyki mistyczne, on pisał i oddawał się po dawnemu twórczej orgii i zapamiętałej namiętności rojenia. Jego cały stosunek do mistrza i jego drużyny był nierówny, fantastyczny i nie opierał się bynajmniej na głębokiem, szczerem przekonaniu. Nie brakło zajść przykrych i gwałtownych. To pewna, że uważał swą religię za szczerą i wyższą; mądrość polską, twórczą i mówiącą z siebie — wolał, niż wykształconą i różnojęzyczną (Listy); swą wiarę w duchowość świata za tak ogromną, jak oblicze błyskawicowe Jehowy, odbite w olbrzymim przestrachu natury na wielkim stepie albo na Golgocie.

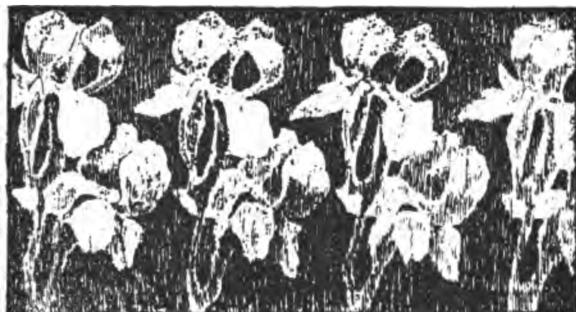
Życzy więc ludziom małego serca i kornej wiary, ażeby w modłach i dobrych uczynkach znaleźli drogę do spokojnej śmierci — a temi ludźmi byli bez wątpienia uczniowie Towiańskiego.

Tak, »Król-Duch« jest niejasny. Ale czy zrozumiały jest ów »hymn wiatrzany, co leci »przez błękitne pola Ukrainy« i »skrzydłami ruszy proch zakrwawionej przez Tatarów gliny?« I czy mimo to nie porywa? Nie trzeba jeno zanadto filozofować i dopatrywać w tych królewskich psalmach jakichś intencyj niepoetyckich i nie-artystycznych. To, że jego bohater nazywa się sam Herem Armeńczykiem, a potem przewciela się w coraz to inne postaci — królów i książąt, że każe zasypiać jednemu swemu kształtowi, a budzić się następnym, nie jest żadną czarną magią. To jeno głębokie ześrodkowanie nieskończonego dramatu dziejów w jednej nieśmiertelnej, zmiennej istocie duchowo-królewskiej. Dokoła niej wirują burze zamierzchłej historyi: purpurowe łuny wojen i słodkie błękity zwycięstw — wszechświatowym kołowrotem, jak niezastygły jeszcze i ogniowy glob ziemski — dokoła swej osi. Ona, niby niewidzialna arterya wielkiego ciała narodu, uderza nazewnątrz tętnem krwi i pędzi do jego peryferyj blaski i rumieńce życia. Ona wystrzela nazewnątrz i rozsypuje fontannę blasków ak niewidzialny sam w sobie prąd elektryczny. Jest jak przedwieczna idea absolutna, która przybiera na się formę biegu dziejów i rzuca na ich wartkie nurty wspaniałe nawy wypadków, dążeń i zjawisk (fenomenów).

Jeśli czyje większe ziarno przyczyniło się do zapłodnienia Słowackidgo tą budową, tak powszechną i zarazem tak dośrodkową — to najpewniej Hegla, o którego »idei, zjawionej wszędy w swoim innobycie«, wspomina, lub wogóle ta sfera myśli, to koło motywów i poglądów na dzieje, które się z jego nazwiskiem raz na zawsze złączyły. Wszyscy jesteśmy mniej lub więcej heglistami, choć nieraz podstawiamy na miejsce fenomenologii — ewolucyę ducha. W jego nauce i nauce spadkobierców możemy doskonale pomieścić i metampsychozę — czemże bowiem innem jest ta wędrówka, którą przebywa duch dziejów, gdy zrzuci z siebie szatę klasycyzmu, by przywdziać romantyzm? Tak samo przenosi się stopniowo w ciało następujących po sobie pokoleń i ideałów Król-Duch, który miał na ostatku być bardem, śpiewającym własną swą przeszłość — Słowackim. Właściwie jednak jest to pomysł nawskróś oryginalny, i jako niebywałe epos ducha,

i jako rozwój postępowy ku uduchowieniu. Jego tajemniczość nie jest nawet wyłącznym oddźwiękiem mistycyzmu chrześcijańskiego, bo w niej zanadto panuje uroczy nastrój świętych dębów i zniczów.

Już tu więc skończyła się rola filozofii cudzej, a zaczęła — sztuka i inspiracya własna. Dzięki temu druidyczno-harfiarska postawa poety odzyskała całą swobodę mówienia o sobie do wielkiej widowni. Dzięki temu śpiewa znowu, jak zaklinacz natury lub Orfeusz. I nawet motywy naprawdę epickie, jak opis postrzyżyn lub wysłania swatów do Czech, straciły swój chłód przedmiotów wygasłych, a stały się gorącem, bolesnem lub radości pełnem wspomnieniem. »Iskra duchowa« cudza, narodu — przeszła w dyament samowiedzy i samopoznania, rzucający »boleści, różnych tajemnic kolory, krzyki, jęki, błyskawice«.



Otóż te blaski i żary tak zapanowały w poemacie, że nie zostało i śladu myśli prozaicznej. Szlak abstrakcyi zamienił się w drogę wiosenną oazy, pełnej kolibrów i ptaków rajskich, tęczowej łuski żmij i olbrzymich, upajających kielichów kwietnych. Idea, sycąca historyę, sama przez się sucha i czcza, nabrała tryskającej sokami młodości i promiennego przepychu. Król-Duch jest ukoronowanym bohaterem, o którym możnaby powiedzieć, że ma płaszcz świetny świetnościami wszystkich przodków (»Testament mój«), lecz jest zarazem i istotą, co czuje wrażliwie, kocha, raduje się i cierpi, ma wszystkie znamiona istoty ludzkiej, jeno rozmiarami — nadludzkiej, a że opowiada o sobie sam, więc śpiewa lirycznie żywą melodyę kolejnych uniesień i zgrzytów.

Inaczej być nie mogło. Słowackiego unosi zawsze i wszędzie szał rozrodczy poezyi. Motyw pantejski i powszechny zatraca pod jego piórem wszelką jałowość myślicielską—i przedzierżga się w tony muzyczne. Gdyby był astronomem, wpadłby pewnie w sonambulizm i zamiast obliczać biegi gwiazd — śniłby ich korowody. Kto chce, może w tem widzieć nieporadność, nałóg — ale nałóg to cudny. Możnaby nawet na dobrą sprawę znaleźć rodowód tej poezyi dosyć prosty i powiedzieć, że w poecie wyobraźnia szła przed rozumem, a język przed wyobraźnią. W rzeczy samej łatwiej mu było, zwłaszcza w dalszych latach, powiedzieć »duch«, niż »człowiek«, »motyl psychiczny« i »gołąb psychiczny«, niż »motyl« lub »gołąb«; łatwiej »anioł«, niż »duch«, — tak właśnie, jak się przedstawia w masce Fantazego. Nieraz, ni stąd ni zowąd, zamiast: duch mój — mówi: anioł mój. Kiedy Król-Duch wspomina, jak go kapłanka pogańska podżegała przeciw znamieniu krzyża (Rapsod IV, pieśń 2) śpiewa:

> I tak uczułem, że mię jako kłody
> Chce siłą ugiąć i złamać — i łamie...
> I to uczułem, że wysoki czołem
> Anioł mój... nie chce paść przed jej aniołem.

W tem miejscu kusicielka była raczej złym duchem, niż aniołem białym, lecz poeta wolał zawsze anioła, niż ducha. Nawet duch świata, to dla niego »anioł powietrzny, rumiany, globowy«; duch ludu — »anioł mieczowy ludu«. »Anielskość

stała się mu kształtem istotowym zarówno ludzi, jak i rzeczy, podobnie, jak przeczucie stało się piosnką, grającą mu w duszy, bo »przed każdą rzeczą spełnioną grają duchy ludzkie, a po spełnieniu rzeczy tracą piosenkę«. Ozdobność wyobrażeń oddziałała na sposób myślenia. Słowa stały się indywiduami, bytami i niejako ziściło się to, czego im w najwyższej pochwale życzył Krasiński. W ten sposób ów panteizm stał się z winy fantazyi i stylu animizmem, a ten znowu — anhelizmem. Lecz skądkolwiek wziął się ten system anielski, czy z pędzla poetyckiego, czy z gorączki wyobraźni — to pewna, że poeta śmiało i świadomie pędzi w tem upojeniu anielskiem naprzód i ironicznie zostawia za sobą — w jednym z wierszy ulotnych — wszystkich »z ducha wytrzeźwionych« i »czcicieli pieczeni«.

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — sławy aniołowie.

Teraz »w głowach się nie ćmi, jak pierwej, słonecznie, fletnie nie grają«, »stoim i śpimy a świat śpi pod nami«. Żałośnie tedy potrząsa głową, ale tem potężniej gra na harfie własnej, i jako Król-Duch, Orfeusz słowiański, wprawia swą muzyką w tan — góry i doliny historyi. Ta szybkość ruchu do reszty wprawia w kłopot zwykłych czytelników i odbiera im nić przewodnią. Nietylko, że przestają rozumieć tę dziwną epopeę królewską, ale i wierzyć, aby mogła być naprawdę piękna.

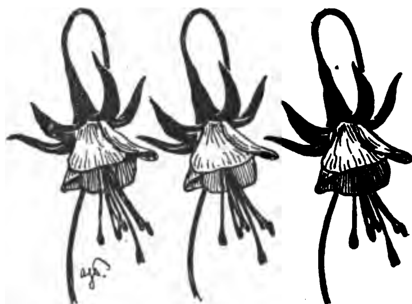
Ale twórca nie przeznaczył jej dla tych, co są żądni ciekawych wątków i intrygi, przyśpieszającej bicie serca. Niewiele opowiada wypraw rycerskich. To przecie nie Król-wojak, lecz Król-duch; z przeszłości ku przyszłości pędzi sprawy ducha, nie oręża.

Cierpienia moje i męki serdeczne
  I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
  Jamy wężową napełnione zdradą —
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
  Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
  I wielkie duchów świętych wojny święte.

Śpiewa o okrucieństwie swojem, niezbędnem w zaraniu dziejów dla nadania hartu państwu, o duchowej mocy dawnych Lechitów i ich przywiązaniu do panów, o aniołach — odwiedzających Piasta, o sielskiej i słonecznej rzewności Ziemowita, o dumie Prometeanki Pychy (Rzepichy), o tem, jak w swej szalonej ambicyi zawarła zdradzieckie przymierze i ściągnęła na ojczyznę miecz Ottona, którego pokonała złota chorągiew Ziemowita, jak ominięty w błogosławieństwie Wodan, syn jej, stał się kolebką słowiańskiej melancholii. Śpiewa o ślepocie fantastycznej, w której pogrążony był przed wprowadzeniem wiary Chrystusowej, »o śnie gienezyjskim ducha« i »roku tysiącowego przeczuciach ludowych«, o pasowaniu się religii nowej z uroczym gieniuszem pogaństwa, który skarży się, że wyroczniom jego odebrano ducha, że węże nie służą, gołębie zwodzą, klątwy nie szkodzą zbożom, o czarownem przebudzeniu, o pokorze, ciszy i skromności, które weszły wraz z nią pod strzechy polskie, o duchowych dziełach Mieczysława i Bolesława Śmiałego, wskrzeszeniu Piotrowina. A kresem, do którego ta wędrówka ma dążyć — jest znowu duch. Niech polskie duchy będą tem dumne, że ulegają duchowi, i niech nie idą za zwierzęcą i niższą gromadą — niech myśl serdeczna i pieśń z otwartą myślą stoją nam nad poduszkami.

Rapsodom Króla-Ducha brak plastyki — tego ukrywać niepodobna. Poeta snać pragnął uniknąć nawet cienia podobieństwa do historyi — i nader skąpym jest w wymienianiu imion i oznaczaniu czasu i wogóle w prowadzeniu konturów. Postaci i duchy unoszą się w powietrzu tak wysoko nad ziemią, że widzimy tylko ich blaski i jaskrawe majaki, ale ani oblicza, ani kształtów. Jest to epos eteryczne. Ale dalecy od chęci podawania żalu, że tak jest, za zachwyt — pamiętajmy, że możnaby się z łatwością doszukać w utworze innej intencyi artystycznej, która odrazu owe cechy ujemne uczyniłaby wysokiemi zaletami. Oto Słowacki traktuje swą rzecz muzycznie: zamiast faktów — rozsnuwa stany duchowe i uczucia: tęsknot, niepokojów, sennej fantasmagoryi, walki wewnętrznej, porywu lub zgrozy, miłości lub nienawiści. Nieskończona melodya Króla-Ducha z takich właśnie motywów się składa (Ból

Sławy, Miecz i Sława, ziemia słowa — Słowianie, Włady—mir, mają w dodatku wartość symbolów, wziętych z legiendy). Tyle on jeno z ciała wypadków bierze, co symfonista, któremu dostępną jest tylko strona uczuciowa lub nastrojowa tematu, tylko to, co się da wypowiedzieć kolorem i rysunkiem tonów, stopniowaniem siły i miarą czasu, a niekiedy jakiemś echem ludowej pieśni lub hymnu. Król-Duch — to śmiałe i może bezwiedne, lecz zdumiewające przeczucie symfonii poetyckiej. Żeby jednak mógł się naprawdę zamienić w muzykę i czarować — wymaga zwyczajnych objaśnień, których przyszłość literatury pewnie mu nie poskąpi. Wtedy będzie może cały grał i śpiewał, jak lirnicy, którzy w nim występują. Ale i bez tego sam materyał muzyczny, z którego został utworzony, jest najwyższej piękności. Do takiego przepychu, elastyki, tężyzny, kolorytu, bogactwa nowych zwrotów i blasków brylantowych język polski nigdy się jeszcze nie wspiął. Jeśli Król-Duch nie wzrusza — to odurza i oszałamia, brzęczy naturą słoneczną, jak gdyby jego strofy były świeżo wyrojonemi pszczołami z pasieki Piasta, a czasem niesie hejnał z wysoka, jak »skowronkami dzwonne firmamenta«.



V.

> Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej,
> Że coraz wyżej w krainy błękitu
> Prowadzi. *Beniowski.*

Tyle razy zgrzeszył pychą, że się w końcu otoczył majestatem Boga; tyle razy widział się wywyższonym nad innych, aż się nazwał sternikiem napełnionej duchami łodzi. Zżymali się na to towarzysze emigracyi, jakby na widok karła, chcącego uchodzić za olbrzyma, a Bohdan Zaleski nazwał go... »głupiem cielęciem«.

A dzisiaj? Dla starych nie przestał być po dawnemu egotystą, samolubem, pyszałkiem, wiecznie sobą zajętym — w listach i poezyach. Dla młodych — arcymistrzem formy, poetą młodych. To już o wiele bliższe prawdy, ale czy zdają sobie oni sprawę, jak dalece jest młodym, jak owym egotyzmem zbratał się z tymi, co mieli przyjść o półwieku później? Czy porównali stopnie siły i porywu w różnych rodzajach jego twórczości, ażeby poznać, w którym króluje, jak w żywiole dla siebie najwłaściwszym? Bo Słowacki nie zawsze przemawia tym bezwzględnie szczerym, piersiowym głosem, którego każdy odcień, każde brzmienie, bodaj na jedną zgłoskę przypadające, przekonywa, zapala, wnika w serce. Jego »kwitnąca natura« czasem zasypuje nadmierną fontanną kwiecia i ogłusza, zostawiając słuchacza trzeźwym, czasem znowu — i właściwie najczęściej — mknie tak wysoko ponad ziemią, że patrzymy nań, jak na wspaniały jakiś plafon nieba: z natężeniem oczu i szyi, z uczuciem wysiłku i zmęczenia; cza-

sem wreszcie, gdy zstąpi na grunt realny, razi jakąś dysproporcyą nakładu włożonego i osiągniętego celu — jak n. p. w poemacie »Piasta Dantyszka«, i ma chód tak dziwny, jak ów albatros Baudelaire'a, co spadłszy od strzału z wyżyn podobłocznych na pokład okrętu, wydał się żeglarzom niezgrabnym, choć on przecież lata z orkanem i orłem w zawody. Dopiero zaś wtedy opanowywa nas naprawdę i chwyta w swe zaczarowane koło, gdy może naładować strofy wybuchami własnego, osobistego bólu. Widzieliśmy to już wyżej z jego liryk, ale to jeszcze nie był zenit natchnienia. Tam tonem górującym było roztęsknienie i rozanielenie i przeto siła piorunowa jego muzy jeszcze drzemała. Były to melodye dla łzawej harfy podatne i nie grożące jej rozbiciem — struny mogły je śmiało wytrzymać. Natomiast moc męska, jowiszowa, czekała na Króla-Ducha, ażeby się w niego wcielić. Ale tu znowu lśnienie epok, pędzących jedna za drugą, jak ogniste meteory, w inny znów sposób nie pozwalało uczuciu skupić się, spiętrzyć,ześrodkować ani w poecie, ani w słuchaczu — zostawał pewien chłodny chaos. Prawie wszędzie powtarza się u Słowackiego to zjawisko, że przeczuwamy w nim i niemal widzimy całą zdumiewającą łatwość wstrząśnienia nas wrażeniem pełnem, to znaczy, o tyle silnem, o ile czułem i głębokiem — ale samego tego wrażenia jesteśmy głodni, nie doznajemy go. Owóż przybywa ono w całej swej pełni i udziela się nam syntetycznie w motywach osobistego poczucia siły i wyższości.

A więc to »indywidualizm?« Jak kto chce — wniosków się nie lękam, a Słowackiemu na pewno ujmy nie przyniosą. A gdyby nawet miał na tem ucierpieć, to zostanie niezaprzeczonym faktem, że nigdy nie był tak naprawdę pół-bogiem, jak wtedy, gdy go chciano z piedestału strącić lub kazano klęknąć i ukorzyć się przed innymi. Nigdy nie grzmiał tak potężnie, jak na widok karłowatych duszyczek kliki i korporacyi. Był biczem bożym na miernoty, plotkarzów i bałwochwalców. Czy ten arystokratyzm ducha był rodu bajronicznego, czy całkiem własny, to rzecz niewielkiej wagi wobec tego, iż w duszy Słowackiego drgały wszystkie te bóle i rany, których okrutne podrażnienie przez świat zewnętrzny

daje splot motywów indywidualistycznych. Co innego naśladować Byrona, a co innego mieć samoistną, własną wrażliwość na wszelkie grube ciosy i niedźwiedzie dotknięcia — ogółu. Można zapożyczyć od kogoś postawę lub giestykulacyę, ale nie podobna przejąć łez i miotania się bólem poniewierki lub choćby tylko na widok złośliwości i zawiści.

Lecz nie obawiajmy się iść dalej. Być może, iż poeta przesadzał rozmiary nieżyczliwości ludzkiej i że w nim siła gniewnego odruchu nie odpowiada sile podrażnienia lub obrazy. W takim razie przygasłaby trochę jego ewangieliczna świętość, ubyłoby jego sławie promyków wzniosłej »białości«, a przybyłoby złota i purpury indywidualizmu dumnego, tego, co dzisiaj pod klątwą i pręgierzem stoi. Być może — ale cóż, kiedy on naprawdę czuł się innym i wybranym, a ludzie wydawali mu się pospolitakami, a »Beniowski« cały tem poczuciem tryskający, zawdzięcza mu strofy najwyższej siły, przejęcia się i błyskawicowej, oślepiającej jasności.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidjasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna!

Proszę przeczytać jeszcze raz tę całą pieśń czwartą i piątą Beniowskiego, a potem wskazać lirykę wyższą, piękniejszą, serce bardziej rozbite, okrwawione, i nad niem głowę bardziej dumną, szyderską, przytomną i czarującą: »A teraz ciskam serce, puhar lśniący, słyszycie? Pękło«.

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże,
Przechylcie — niech je próżnemi uczyni
Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadów, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka,
Bliżej chmur co grzmią — niż ludu co czeka! —

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czoła z wulkanicznych szczytów,
Cierpię! lecz jeszcze gardzę — I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów;
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany, do niebios błękitów,

Gdzie mu początek był i koniec będzie —
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Uczyńmy jeszcze jeden krok dalej. Być może nawet, iż Słowacki sam się za te wybryki dumy potępia. Nawet niewątpliwie: autoanaliza, o której mówiliśmy na początku, w związku z wzrastającym pobożnym mistycyzmem, dławiły raz po raz wybujałe poczucie odrębności i przygniatały je ku poziomowi; a w każdym razie stawały wrogo naprzeciw i mierzyły ję groźnym wzrokiem. W takim razie wypadnie, iż odpowiedzialność poety jest tem większa, bo oto miał wiedzę swych błędów, a mimo to nie wyzbył się ich doszczętnie. W takim razie będzie to już skończony, zawołany nadludek, Uebermensch?

I tej konsekwencyi nie należy się tak bardzo przestraszać, lecz pocieszyć się tem, iż na poparcie jej przytoczyć można mnóstwo dowodów. Widać z »Beniowskiego« i »Króla Ducha«, że w poecie sąsiadowały dwa światy uczuć i pojęć — pokora, wciąż rosnąca, i świątobliwość wobec Boga i ideałów — oraz wiara w swą nadludzką, nadczłowieczą misyę w poezyi i dziejach.

Lecz snać sumienie jego potrafiło godzić z sobą oba krańce; chwilami musiała mu przebłyskiwać prawda, że taki indywidualizm nie jest bynajmniej rzeczą jałową lub samolubną, lecz raczej tem wysokiem stanowiskiem, z którego lepiej widzieć można płaskość ludzką i fałsze zbiorowego człowieka, a zarazem tym orężem, tą maczugą, którą można kruszyć pęta, kute przez zaściankowych domorosłych prawodawców, »szarych gospodarzów« i krzykliwych ludomanów.

Zbiorowa to osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypia ma? — A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dlatego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

I nie wahał się otoczyć swej dumy taką aureolą, że aż ją »świętością« niemal nazwał:

Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty...

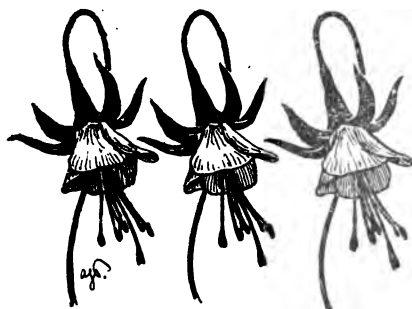
Ten motyw dumy, jako potężnej dźwigni i zarazem samowiedzy moralnej, różny zupełnie od czysto teoretycznych i jednostronnie ambitnych samoubóstwień Manfreda, powtarza się u Słowackiego bezustannie i prawie zawsze idzie w parze z drwiną dla tych kontrolerów przekonań i fanatyków określonego sztandaru, którzy radziby okajdaniać i wolnego ducha poety. W »Horsztyńskim« np. tuż obok szalonych paroksyzmów zbudzonej nagle energii i dumy Szczęsnego, i obok groźby, że potrafiłaby ona świat do góry nogami przewrócić, napotykamy ironię pod adresem »demokratów«, którzy nie chcą uważać prostej dziewczyny za godną dla siebie partyę.

Jest to niezmiernie pouczające i powinnoby przydać się nie mało wszystkim niebezpiecznie przelęknionym »roszczeniami indywidualizmu«. Albowiem Słowacki stanowi dosadną ilustracyę, że można urągać »gminowi, któremu potrzeba zabawy«, można szydzić z demokratów, będąc jednak, jak on sam głębokim, jawnym szermierzem demokracyi, czego wyraz jaskrawy i nadzwyczaj pełny znajdujemy w odpowiedzi »Autorowi trzech psalmów«, w poemacie »Narodzie mój« i innych.

To trudno: żeby coś zrobić dla ludzkości, trzeba koniecznie stać nad ludzkością lub »lec jak czarny sfinks przy piramidzie«. Dla tego przemawia tonem pół-boga lub cudotwórcy:

> Może wieszcz, zechcę jeszcze w jasnowidzie
> Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
> Pełne piorunów usta, piersi, trzewa;
> Może zamilknę, jak lew co poziewa,
> Patrząc na małość zielonego węża.

Woła śmiało: »Ja syn pieśni, syn królewski!« i wierzy, że »Bóg mu obronę przyszłości poruczył«, wierzy, że posiada moc równą żywiołom, i wcale się nie wstydzi jednoczyć się z Królem-Duchem w zapewnieniu o takiej potędze »piorunowej woli«, że gdy tylko ręce kładzie na wiatrach, jako na harfy Eola strunach, wiatr mu gra pieśnią.



Epoka tragiczna, z której powstał Słowacki, nadawała znamienny koloryt wszystkim wielkim poetom naszym—i z tej przyczyny już musi zachodzić dużo między niemi podobieństwa. Pewien krąg namiętności w jego duszy — a motywów w poezyi, można było łatwo z góry przewidzieć i odmalować. Ale mimo to Słowacki odrębny jest i niezawisły, a odrębność polega na tem, że choć wzgardliwy dla rozpanoszonych miernot, choć mu »nawet w krew przeszła wzgarda« — jawnie, wybitnie i jaskrawo ciążył ku demokracyi.

Czy nie zawiele tu powiedziano? Jeśli zawiele, to chyba w oczach przesądu, płynącego z niedostatecznej znajomości dzieł poety. Przyzwyczajono się niejako uwalniać go od obowiązku wyznawania określonych sympatyj społecznych dlatego, że taki nieziemski, druidyczny, rozśpiewany, wizyonerski i rozbolały własnemi krzywdami. Ale on sam bynajmniej się nie rozgrzeszał i zresztą nie potrzebował, bo z głębi instynktu i bezwiednego popędu kochał lud — i wierzył w jego moc i na nim oprzeć pragnął przyszłość narodu. Tylko nie chciejmy popełniać śmieszności i narzucać mu zbyt ścisłych pojęć i subtelności dzisiejszej publicystyki, i wtłaczać go w ramy dzisiejszej

wielce złożonej klasyfikacyi obozów i przekonań. Takiego strychulca on nie wytrzyma. Ale po za tem ogólna treść jego sympatyi i rozumu społecznego — wyraźnie, a raz nawet wyzywająco przechyla się ku ludowi. Więcej: wiarę tę uważał za tak świętą, że uchybienia jej nie znosił, i ono to było jedną z głównych przyczyn, że zerwał z Zygmuntem Krasińskim. Gdy mówi w listach tajemniczo o jego »upadku«, to zdaje się nie co innego ma na myśli, jak właśnie arystokratyzm autora »Nieboskiej«. Różnica poglądów jeszcze dosadniejszy i nawet namiętny wyraz znalazła w słynnym poemacie »Do autora trzech psalmów«, »jednej z przedziwności języka polskiego, brzmiącej cudownemi dźwięki« — jak go nazwał sam Krasiński (w przedmowie do »Psalmu żalu«). Tu przecież Słowacki jest przejrzysty i jasny, jak nigdzie indziej. Snać uczucia jego społeczne były wyjątkowo boleśnie zadraśnięte, skoro nie waha się pomawiać swego przeciwnika, a doniedawna drogiego i serdecznego druha — o małoduszność: »A ty zląkł się, syn szlachecki?« »Bądźże żywotniejszej cery!« Na samą zaś szlachetczyznę ma gorzką odpowiedź:

Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty kiedyś — staną
Otrząśnięci z wieków pleśni
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby aniołowie.

Lecz ażeby się nie zdawało, że tu chodzi wyłącznie o »magnatów« — należy przypomnieć sobie, że jest to odpowiedź właśnie na dytyramb dla szlachty w »Psalmie miłości«, gdzie w imię Ducha Chrystusowego — rozbrzmiewa taki oto hymn:

Pierś-że czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad Ludu biedną marą,
Nad przepaścią ciemną jeszcze
Skrył się cały w żary wieszcze?

Słowacki dał tym chwalbom taką odprawę, jak gdyby był społecznym polemistą, a nie lunatykiem, unoszącym się nad historyą swej ziemi na wysokości biegu księżycowego.

Przenika intencye tych, co »chcą stać na głowach braci tak, jak szatan dotąd stoi«, wie, że to »forma, która kuta od tysięcy lat na świecie, choć spróchniała — duchy gniecie; wyrobiona i przeżuta, przeświecona piekłem mara, dla was święta tem, że stara...« Woła, że ten »wiatr z gwiazd i ognia«, o który szlachta opiera się plecami« — niesie lud, a ją samą wali, i zapowiada jej wybrańcowi:

To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem —
Charonowej twojej łodzi
Pełnej trupów wpoprzek staniem.

A w »Beniowskim« słyszymy gromki, wyzywający głos:

»Kocham lud więcej niż umarłych kości.«



Sentymentalna strona tego samego usposobienia odzywa się w wierszu »Narodzie mój«, gdzie lituje się nad błękitnymi chłopkami, co jęczą znędzniali, tysiąc lat idą, a w miejscu stoją. Jest to ta sama miłość ojcowska, którą wezbrało serce Króla-Ducha:

Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, skąd miód ludzie biorą.

Praktyczna — w »Testamencie«, gdzie zaklina żywych żeby »przed narodem nieśli oświaty kaganiec« i — w wielu, wielu innych akordach poematów i rymów ulotnych.

Ale gdy chodzi o organizacyę tak nawskroś poetycką, jak Słowackiego — czyż należy opierać się na wyznaniach i zasadach? Czyż on nie wypowiada tych samych uczuć bezpośrednio, każdym wierszem utworów, opartych na wątkach ludowych, jak »Balladyna«, lub na duszy plemienia, jak Lilla Weneda, Beniowski, Król-Duch? Przecież tam lud, jako główna istota narodu, jako plemienny rdzeń, jako to, co nadaje ziemi i krajowi barwę i kształt — jest głównym, jeśli nie jedynym bohaterem. Beniowski — z ruchów ludowych się składa, jego postacie jak Sawa, bandy Żeleźniaka, dzika mołodyca Hudyma »smagła lecz rumiana«, »widmo malarskich pędzli pewnie godne« — to żywe wcielenia pierwotnego żywiołu narodowego; jego postaci wesoło-baśniowe jak Grabiec lub Skierka wzięte są żywcem z wyobraźni ludu, z widoczną miłością i doskonałą oceną ludowej skarbnicy natchnienia. A Król-Duch, choć na pozór streszczony w mistycznr ukoronowanej głowie, w gruncie rzeczy streszcza się w duszy i to duszy zbiorowej, polsko-słowiańskiej. Tam wszystkie poetyczniejsze marzenia odbrzmiewają duszą szczepu, charakterem ludu — tam każda jednostka jest Dziedzillą lub Kwiatyną, rozpromienia się, rozpryskuje w duchowość gromadną, nietylko przez bliskie swe z ludem krewieństwo, lecz i z woli samego poety, który każdą osobę świadomie rozprowadza napowrót w psychę zbiorową. Za natchnienie bierze tu całą sielsko-prostaczą naturę Polski i wypiastowaną pod strzechami pieśń chóralną, a słodycz czerpie z pól i łąk rodzimych. W zmie-

nionych obliczach chat i skromnym obyczaju sielskim czyta słowa świeżo przyjętej wiary Chrystusowej. W Wodanie — słyszy źródło smętnej melodyi całego plemienia polskiego. Każe wieńcom bocianów stawać w chmurach nad głową Ziemowita i składać dzieciąteczku powietrzne hołdy, chatom błyszczeć z radości, jagniętom odbiegać matek i patrzyć za nim. Gotów jest jak gołąb świecić łonem swem nad ciemnotą i błogosławi ludziom i trzodkom cichym. Choćby ojczyzna miała być prostą jak chłopek i w chłopka postawie kłaniać się Panu — błogosławi jej. Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolendą wyglądać będzie, aż żórawie przyniosą mu chleba ze stołów chłopskich — i błogosławi ptakom i stołom ludu, wesołym żeńcom i dworom, i chatom i zapałom, które rodzą się w tłumach. Rapsod o Bolesławie Śmiałym śpiewa:

Często, gdy spojrzę, to jak falki srebrne,
Jagnięta — ludki ubożuchne moje,
Którym są ręce królewskie potrzebne
Stoją — a jak krzyż nad niemi stoję.

A w »Beniowskim« poeta własną duszę swoją porównywa do chaty ubogiej, w którą zaprasza swą ojczyznę jak biedne dziecko matkę swoją do chaty, »co już się zaczęła rozsychać, rozpadać, tylu wichry rozerwana, biedna, tak dawno stojąca, gliniana«.

Słowacki różni się wielce od Mickiewicza, którego gieniusz najpełniej chwytał piękno szlacheckie i wszelkim wytworom jego nadawał przedziwną wypukłość. I wypadło oto, że tamten choć w ideale swym ogólnoludzkim stawał na najwyższych szczytach sprawiedliwości — przybrał sobie za syna typowe dziecię szlacheckie — Pana Tadeusza; Słowacki zaś, choć tak purpurę królewską kochał — duchem swym rozpościerał się po chatach kmieci i bratał się z takiemi siostrami, jak Alina lub Balladyna. Jest w nim coś z Kazimierza Wielkiego, ale wypięknionego przez legendę ludową w »Króla chłopków«, jest jakaś mięka, trochę czułostkowa sielanka — w wspaniałym płaszczu gronostajowym.

Lecz z tym dla ludu sentymentem poety i życzliwością narodowca szły w parze: zasada myśliciela, wierzącego silnie

w rozwój, oraz gromki poszept własnego zmysłu historycznego, że przeszłość nie wraca, a rola żywiołu, sławionego przez twórcę »Trzech psalmów« — skończona. Wszystkie jego teorye i poglądy przepojone są nawskróś czynnikiem mistycznego rozwoju i rozświetlone wzrokiem bystro patrzącym w daleką, daleką przyszłość. Wierzył, że »ludy płyną, jak łańcuch żórawi, w postęp«, i że zjadaczów chleba można przerobić w aniołów. Był naturą — rzec można — nawskróś ewolucyjną, jak niektóre wybitne umysły naszego wieku, wrażliwe bardziej na zagadnienie samego przetwarzania się natury, niż jej pojedyńcze stacye. Był jednym z tych »wysokich ludzi«, co znają pochód przyszłości i o których mówi do narodów: Czyńcie! bo tętno już waszego chodu w uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie. Wsłuchany w ten grom — groził »matkom, które się nie bronią piekielnym duchom, w przeszłość odwróconym«. Jak w układaniu rymów, tak w ideale swoim patrzył tylko przed siebie, nigdy wstecz. Hasłem Krasińskiego — ironia dla tych, co bodą gnuśne brzuchy dziejów krwawą ostrogą (»Gdyby nie te jazdy, postępu by gwiazdy nie błysły nad światem«). Hasłem Słowackiego — »pod męką ciał leżący duch, wieczny odnowiciel, wszczynający ruch«. Krasiński więc daremnie kładzie się kamieniem,

Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże.

Bo polski lud, to jego Ojciec, w którym jak w cierniowym krzaku, gotów znów Bóg się ukazać.

Pomijając już wszelkie pierwiastki rozumowe — Słowacki jest niejako poetyckiem upostaciowaniem »ruchu, ognia i młodości», co »orla i żywa, ogniem porywa i z ducha czerpie«. Jako jednostka psychiczna i jako organizacya twórcza — uosabia ruch myślowy i niesłychaną, wyjątkową ekstensywność pracy wewnętrznej — uczuć i pragnień, jest nie próżnującym nigdy tyglem duchowych przetworów, nie gasnącem nigdy wnętrzem wulkanu. Idealny Czujduch — w słabem i męczącem się ciele. Dlatego tak chyża jego nieokiełznana wyobraźnia, stąd nieocuglony galop jego strof, stąd deszcze gwiazd »Króla-Ducha« i stepowy tentent »Beniowskiego«.

A jak niema dlań okropniejszej rzeczy nad spokój, gnuśność, tak nic zda się większym nie przejmuje go wstrętem nad obojętność i brak cierpienia. Pragnąłby czuwać na jakiejś globowej, niebotycznej strażnicy i stamtąd przesyłać swoje parzące żagwie — palące pieśni, ażeby budziły świadomość i siłę:

Na północ je posyłam — miejcie czucie!

Wypełnia tym bólem całą atmosferę i gra całemu światu surmową pobudkę. Swoją grozą i bólem sprawia, że z nad morza, dokąd uciekł, pędzą na północ jakieś tajemnicze szelesty, jakby odgłosy kuźni Wulkanowej, jakby łopot skrzydeł orlich lub rozdzieranie chorągwi. Jego siła taka, że zadrżą polskie dachy, trzaskając jak kość gdy się pali, dzieci wezmą nagle płakać i staną się białe jak próchno i ockną się straszne, niespodziane zjawiska.

Tak więc sama duchowa organizacya Słowackiego, jego sposób czucia i myślenia czyniły go druhem i piewcą siły zdrojowej, w której spoczywa rozpęd narodu i przyszłość jego ducha. Jeśli Mickiewicz — prawdziwy kolos czucia i bezpośredniego porywu, ideały polityczne wypowiada jednak w pismach rozumowanych i jasnych tendencyjnych poematach, pełen dowodów, głębokiego doświadczenia, wskazówek etyki i wspaniale wiernych obrazów smutnej rzeczywistości — Słowacki wygrywał swoje wyznanie wiary, jakby na lirycznych strunach swoich nerwów. Jeśli tamten jest sternikiem, mistrzem i posągiem, ten konturów dotykalnych nie ma: jest ogniem, ale jak ogień niespożytym.



Twórczość tamtego jest zakonem, apostolstwem wzniosłej idei przyszłości. Słowacki — jest cały męką krzyżową postępu i ciągłych odrodzin, samą substancyą, tworzywem procesu rewolucyjnego historyi. Uderza duszą o duszę, a nie rozumem o rozum. Wciska się w umysły wrażliwe i udziela im tajemnej wibracyi pragnień wyższego jutra. Jako sama dusza i istota siły odrodczej i pędu ku ideałowi ruguje z nas flegmatyczną trzeźwość i poziomość. Jest dziś tak samo młody i czarowny, jak przed laty pięćdziesięciu.

A teraz jak z dogmatem o ojcostwie — zwierzchniczej powadze — ludu polskiego pogodzić owo »Król nad królami, a nad ludźmi — człowiek«, czyli ów nadczłowieczy egotyzm Słowackiego?

Poezya wszechludzka podobna jest w swym rozwoju do pojedyńczego człowieka. W zaraniu, w dzieciństwie, nim wykształciła mowę uczuć — mówi o sobie w trzeciej osobie — zupełnie jak dzieci. Przychodzi jednak czas, gdy zaczyna mówić »ja« — wtedy skargi jej i zwierzenia tracą kształt przedmiotowy, formę jakoby cudzych bólów i tęsknot i pasyj, wtedy przemawia do nas bezpośrednio: »męczę się!«, »pragnę!«, zamiast malować mękę i pragnienie osoby trzeciej, jak czynią dzieci, lub osoby zmyślonej czyli t. z. »bohatera«, jak to czyniła poezya ducha ludzkiego w swem zaraniu. Ogół ślepy, który chętnie też szuka swych rzeczników w ślepych — zupełnie jak w fantazyi Maeterlincka, zmiany tej jednak nie rozumie, znaczenie jej odwraca na wspak, tłumacząc ją sobie w ten sposób — że dawniej, nim przemówiło »ja« — człowiek bolał tylko cudzą duszą i dlatego był wzniosły, bohater, — odkąd zaś odezwało się »ja« ze swą rzuconą światu rękawicą, człowiek stracił cnotliwe czucie bólu cudzego — ludzkiego, a stał się zdolny przenikać tylko głębie własnej goryczy, czyli nie głębie, lecz płytkie mokradła. I oto wynikło, że niedołężny język dzieciństwa — uchodzi za mowę poświęcenia, a język burzliwych tytanów — za mowę samolubstwa.

Ślepcy myślą, że to orły, które strzaskały skrzydła w płochej wyprawie po zdobycz, po sławę, po miłość. Ale nie wiedzą, że każdy wielki własny ból potarzania w pyle jest bólem świata, jak naodwrót, każda ofiara krzyża — jeśli tylko nie

bezwiedna — płynie z wielkiego bólu osobistego; każdy ból świata, musi przejść przez serce, jednostkowe, krwią żywe serce.

Egotyzm to wrota, naścieżaj otwarte do duszy poety.

Zdarza się, że wprowadza nas do zapuszczonego ogrodu, pełnego chwastów i zielsk i jadowitych ostów, ale bywa i tak, że odsłania przed nami ogrójec — przepysznych owoców i bujnych kwiatów, rajskich woni i kolorów. Takie są właśnie skargi, miotania się i egotyzm Słowackiego. Nawet powszednie żale jego, nawet zwierzenia listowne posiadają urok białych krwią nakrapianych kielichów lilii japońskiej, na których dnie lśni czysta jak dyament łza.



VI.

> Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
> Mogły stać nagle indywiduami,
> Gdyby ojczyzną był język i mowa,
> Posąg by mój stał, stworzony zgłoskami
> Z napisem *Patri Patriae.*
>
> *Beniowski.*

Słowa te są parafrazą listu Zygmunta Krasińskiego do Romana Załuskiego.

Słowacki z żartobliwą dumą rozsnuł w wierszu pochwałę, która była zarazem trafną charakterystyką i zawierała kilka innych jeszcze znakomicie uchwyconych rysów. Styl Słowackiego — pisał jego wzniosły druh — to on sam, stylem tym bije on jakoby o granice wszechrzeczy, wciąż je podmywa i stara się odsunąć. Wiersz staje się w jego ręku pokornym niewolnikiem — a on sam wygląda na króla, gdy zacznie mowie polskiej rozkazywać.

Ale filozoficzny umysł autora »Irydyona« dostrzegł więcej: że Słowackiego zrozumieć można tylko jako moment w literaturze polskiej późniejszy, że gdy Mickiewicz uderza nadewszystko siłą dośrodkową, siłą wcielań i twierdzeń — ten przychodzi po nim jako potęga odwcielań i zaprzeczań; gdy tamten jest w poezyi naszej Michałem Aniołem, ten — Rafaelem lub Mozartem. Wróżba — śmiała i na ogół gienialna, jeśli zważyć, że powstała za życia obu poetów, to jest nim przeszła ta niezbędna fala czasu, która wymierza sprawiedliwość, pozwala odgraniczać przeszłość od teraźniejszości, i pomaga odróżniać zmierzch jednych bogów od świtu nowych. Bez

żadnego steru doświadczalnego, przed ułożeniem się dwu tych duchów w określone wielkości, Krasiński prorokował — taka więc przepowiednia zdumiewa, o ile się sprawdza w następstwie. W tym wypadku sprawdziła się w znacznym stopniu. Nic tu nie znaczy zasadniczy błąd, który tkwi w porównaniu Słowackiego do Rafaela. Boć sławny twórca Madonny Sykstyńskiej nie wytrzymał spółzawodnictwa z Jehową sztuki renesansowej — Buonarottim i ustąpił mu pierwszeństwa. Potęga i indywidualność zepchnęły na plan drugi — słodycz i czystą, trochę bezlicową melodyjność palety i stało się oto, że geniusz sztuki nowoczesnej więcej ma w sobie Michała Anioła, niż Rafaela.

W tym względzie przeto Krasiński grubo się omylił. Sądził on oczywiście — jak zresztą wielu — że większa harmonia i miękość, większa muzyka dzieła stanowi wyższość, a zatem i szczebel doskonalszy, późniejszy na drodze twórczości. Przewagę Słowackiego oparł na jego niebywałem czarnoksięstwie stylu, tyleż muzykalnego, ile potężnego kolorem. Lecz to jest właściwie tylko wzrost techniki, a więc postęp czysto artystyczny, który sam przez się jeszcze nie daje zwycięstwa za grobem nad takiemi, jak Mickiewicz, nie przemienia ludzi w aniołów i nie może mówić o sobie: przyszłość moja! Bo łatwoby się zdarzyć mogło, że język i mowa zjednałyby może poecie wielki przydomek Cyceronowski, ale poezya zachowałaby się powściągliwie i palmę pierwszeństwa przyznała temu kolosowi, co »jak Bóg litewski z ciemnego sosen powstał uroczyska«, wyrósł całą swą istotą z ziemi i zachował do śmierci potężną żywiołowość i swoje choć sękate, lecz olbrzymie, wszechogarniające konary. Jeśli zaś poniekąd inaczej się stało i niektóre dzieci ducha Juliuszowego wybiegły naprzód, jako zwiastuny nowego pokolenia, a zwłaszcza nowego pokolenia poetów, to nietylko mocą swej czarującej melodyi, ale i samego przeduchowienia, nadziemskości, przewagą kunsztu i usposobienia poetyckiego, wyższym indywidualizmem słowa, mocą swego bliższego powinowactwa z tą odległą dobą, kiedy świat będzie — jeśli będzie — takim właśnie warsztatem pracujących nad zdobyciem coraz piękniejszej i doskonalszej formy duchów, za jaki poeta już wówczas go uważał — wedle

trafnego określenia innego z sławnych jego druhów, arcybiskupa Felińskiego.

Jest w naszych myślach o przyszłości pewien zasadniczy idealny optymizm, jakaś głęboko zakorzeniona wiara, że istota ludzka mimo ciągłe brutalne swe zapędy i drapieżne czyhania wstąpi przecież kiedyś na drogę ducha, że manowce, któremi błądzi, szukając żeru, są chwilą przejściową. Jest »utęsknienie wieków za nieskalaniem i za bezmogiłą« (Król-Duch) i jest w nas wiara, że sam osobnik człowieczy zdobędzie ową wyższą formę, której wyraźne przykazanie i przeczucie na świat z sobą przyniósł, że wydoskonalą się jego władze umysłowe, zaostrzy wzrok duszy, zbogaci uczuciowość, wyszlachetnieją związki z ludźmi, spotężnieje wrażliwość etyczna, miłość dla natury i oczyści się piękno ducha — a sama mowa stanie się subtelniejszą i podatną do wyrażania najbardziej niepochwytnych pragnień i poruszeń serca. »Ducha nasienie wszędzie się ruszy, śpiące w wieków pyle« (Poeta i natchnienie). Otóż zwiastunem i piewcą tej odległej, a może i nieziszczalnej doby jest Słowacki. Tak też go nazywa Inspiracya:

> Przedlotem ducha światy tyś wyminął,
> Wiedział o niebie, nim się inny dowie.

A sam o sobie powiada:

> Jestem z liczby kwiatów
> Podobrusowych: często słyszę ślepy
> Nademną jakieś kruszenie się światów,
> Szczepienie duchów nowych w stare szczepy.

Jest »nieugięty w swoich myślach tęczowych i zawsze ma błoto cielesne we wstręcie«. Wyprzedza swój wiek nietylko tem, że wypowiada rzeczy ledwo dla wzroku ducha dostępne, nigdy dla mowy; nietylko darem chwytania w lot wiewów huraganu i skier błyskawicowych, ale zdolnością ujmowania widzeń i snów, rzutowania na zewnątrz halucynacyj, skraplania ich na widome aureole wodospadów, wcielania najgłębszych, najtajniejszych tęsknot i rozrzewnień duszy, że wonieją jak kwiaty lub szybują jak ptaki rajskie. Nie sama giętkość języka bajeczna czyni go zjawiskowym, ale ta nieprzebrana skarbnica

nowych uczuć, pragnień i usposobień, które wypowiedział, pierwszy w poezyi naszej. Materyał muzyczny jest nietylko w jego ręku igraszką wprawiającą w podziw, ale zaklęciem, lampą Aladyna, która odsłania nowe światy i dziedziny duszy, — a samą psychę wyraża delikatniej i przeczyściej, niż czynili inni :

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko — ducha skrzydłem.

Jest nowy i przyszły dlatego, że jego dusza przerasta kształt, cele prześcigają zamiary, naturalne wybuchy łamią własne, głęboko wyznawane święte i korne zasady.

Gdy w Mickiewiczu nad utworem każdym unosi się dusza tematu ściśle mu odpowiadająca, wykwitła świadomie i proporcyonalnie, jak z zasadzonej płonki, u Słowackiego dusza utworu zawiera znacznie więcej, niż było w planie. Tamten, jak wielki snycerz, rzeźbi logicznie, jednolicie i dojrzale, wedle dobrze przetrawionego pomysłu, ten w czasie roboty zespala się jeszcze ustawicznie z dziełem swojem, przepaja je i prześwieca wiecznem światłem swej duszy, zbacza z wytkniętej drogi, kołuje jak mistyczny ptak dokoła ołtarza, zasypuje łabędzim puchem swego łona, a czasami i krwią własną broczy. Trudno oczywiście narysować linię i pochwycić logikę tego lotu fantastycznego — ale to pewna, że on wypromienia niesłychanie dużo ducha.

Chociaż w swym kunszcie poetyckim jest wiecznie zapatrzony w czyste, stufarbne piękno i ma bardzo surowe wymagania co do innych — sam nie może pohamować swej awanturniczości »komecianej«, swej swawoli i wybryków, przechodzących wszelkie granice, ciągłych i niemożliwych imiesłowów biernych, między któremi »znikniony«, »zjawiony« są jeszcze niewinne, ciągłych rzeczowników słownych, jak »nieugięcie — tęczowej myśli w żadne karby«, bezustannych przymiotników wietrzanych, kalinianych i żórawianych, bez-

przykładnych »sztyletowości« i »gardlanych pożarności« i tym podobnych zwrotów, szalonych porównań i skojarzeń.

Chociaż głęboko wierzący chrześcijanin i katolik, raz wraz uchybia dogmatom — na co już zwrócił uwagę Feliński — i snuje swoją odrębną teologię, czysto poetycką i fantastyczną. Sam bierze się w karby i sam je ciągle zrywa. Uderza w pokorę i mówi o swojej maluczkości, wysuwając orle szpony na przeciwników. Przyrzeka matce, że z ludźmi zadzierać nie będzie, bo już dosyć ma wrogów — i po dawnemu szydzi z nich. Złorzeczy własnym pismom i pod wpływem myśli świętych uważa je za marności, lecz pisze i tworzy dalej. Wyrzeka się sławy doczesnej i »oklasków świata«, lecz zawczasu widzi i opiewa uwity dla siebie wawrzyn; opłakuje samotność swoją — i nazywa się sternikiem duchami napełnionej łodzi.

Nie bądźmy temi, co wedle słów hrabiny Idalii, »rozsądkiem przeciw egzaltacyi świszczą«, a łatwo pojmiemy, że ta egzaltacya jest poprostu wezbraną pełnią ducha, że ona jest uroczą niesfornością tych uczuć i myśli, które powinny być w ukryciu, ale nie chcą i nie mogą. Jest mową nietylko myśli jawnych, ale i uczuć tajnych, nietylko zasad przeznaczonych do głoszenia przed widownią, ale i instynktów dławionego konwenansem artystycznym żaru.

Tym sposobem Słowacki wyśpiewywa znacznie więcej niż zamierza; w każdem natchnieniu pojedynczem daje całą duszę i naturę swoją — nieraz może więcej tej rozpalonej duszy, tego ogólno-psychicznego tworzywa, niż wartościowych określonych motywów. I w tem tkwi odpowiedź, dlaczego organizacyom, szukającym raczej pewnego pięknego tematu, niż polifonii całej duszy — podoba się mniej, i dlaczego naodwrót — tym co nad skończoną kompozycyę przekładają war i zarzewie ducha, musi się wydawać uosobieniem samej poezyi, samej ekstazy twórczej i właściwego przyrodzie tajemnego dążenia do rozrostu w nieznanym kierunku i w nieskończoność...

Ta przewyżka ilościowa treści psychicznej ponad zamiar poetycki ma jeszcze drugie swe źródło. Słowacki odrzucał na styl — ozdobność i królewskość własnych rojeń. Jego czarnoksięstwo nietylko na tem polegało, że wysławiał rzeczy niewysłowione, lecz że je rozświecał szkarłatem łun i słońc i kwieciem.

To już nie muzyka i nie malarstwo, ale wszechstronna, stukoronna dekoracyjność mowy. Na jej złotą nić, wijącą się kapryśnie i pełną węzłów — nanizano najdroższe klejnoty. Tak wiele ich, że uczuwasz przesadę i prawie manierę; czasem przedmiot, z natury szpetny i nienawistny, gniewa, że wyposażony jest w te same blaski i taksamo ukwiecony girlandami, jak wzniosły i piękny. Mające ohydą swą budzić odrazę sceny »Poematu Piasta Dantyszka« zatracają swą grozę i stają się nieco jasełkowe przez ten nadmiar migotliwej pieczarnej iluminacyi i zbyt tęczową, zbyt królewską szatę... Lecz ta wirtuozowska świetność — weszła w krew całej dzisiejszej poezyi polskiej, jako mistrzyni smaku, jako wielki herold estetyzmu nowoczesnego, jako hasło monarszej udzielności sztuki i namaszczonych form w poezyi. I podobnie też karkołomne, zuchwałe rymy Słowackiego, przychodzące mu z taką łatwością, jak echowe trele słowikowi — stały się szkołą wykwintu i postrachem na banalność, więcej nawet: kopalnią dyamentów dla innych poetów, bo trudno dziś napotkać rym bujny i niezwykły, któregoby, poszukawszy skrzętnie, nie udało się znaleźć w kryształach wierszy Słowackiego.



I tak dziwny jest ten przedlot jego ducha, że możemy pochwycić dokoła siebie szepty, iż wyprzedził wszystkie chluby, wszystkie podboje i zdobycze nowej poezyi. Słyszymy o symbolice i nastrojach... Ale nie dajmy się porwać temu galopowi. Poezya dzisiejsza jest całkiem z innego świata. Choć duchem nieraz zuchwała i indywidualna i nawet śmiałości herbem się pieczętuje — w tworzeniu samem jeszcze posuwa się zwolna; po omacku; wyrachowana i mozajkowo ostrożna, myśli, że już dopięła swego i że już tworzy siłę, wzruszenie i zachwyt, gdy liczy zgłoski i litery, dobiera czcionki i papier, układa i obmyśla kompozycye i każdy szczegół troskliwie i małodusznie. Doszła do mistrzostwa w budowie strof i wiersza, takim kosztem pracy, że tak mądry człowiek, jak Taine, nie zawahał się powiedzieć okrutnej prawdy, iż trudniej zbudować ładny wiersz, niż wygrać bitwę, a jednocześnie tak obniżyła census siły, potrzebnej do miana poety, że liczba rymopisów odpowiada dziś ściśle liczbie miernot. Cóż może mieć wspólnego Słowacki z tą metodą? Chybaby ją kopytami swego pegaza stratował na śmierć.

Jeżeli więc kto zasadza nowość i wartość dzisiejszej poezyi na szczególnym jej darze osiągania nastroju — na szczęście, zawrze ona z czasem duszę intenzywniejszą, potężniejszą i większą nad małe duszyczki efemeryd nastrojów, — ten niechaj się z całą swobodą co do Słowackiego rozczaruje. Nie umiał on na szalkach aptekarskich ważyć odcieni, ażeby je potem układać w tonacyę, wprawiającą duszę czytelnika w pewien szczególny stan drżenia lub falowania. Na to był za chybki i niepohamowany i za słaby jako kompozytor, — cała zaś tajemnica tej sugiestyi, którą wywołują lepsze z pomiędzy dzisiejszych wierszy, polega na kompozycyi nawskroś odczutej, nader celowej i niewolniczo jednemu celowi — wrażeniu podporządkowanej, rzec można, cyzelerskiej. W jego piekłach świecą cudowne gwiazdy, jego trupy pachną jak wschodnie kadzidła, jego gadziny są tak piękne łuską, jak rusałki Böcklina, jego bitwy promieniste jak zorza. Jakże tu wywołać dreszcz i wstrząśnienie, kiedy oko ma przed sobą zachwycający kalejdoskop barw i ogni? kiedy uwaga rozstrzela się na przepych języka i magiczne ewolucye wiersza?

Prawda — posiada on swój symbolizm malarski — symbolizm żórawi i łabędzi, komet i zórz, gromów, błyskawic i tęcz, wężów i trumien, ale jest to podobieństwo tylko pozorne. Posiłkuje się niemi bowiem za często i szafuje za obficie i częściej z celem dekoracyjnym, kolorystycznym, a rzadziej dla nastroju.

Nie mógł jeszcze posiadać tej subtelności wyrazu, która polega na bezwarunkowo ścisłem dostrojeniu formy do uczucia i żąda, ażeby każde słowo było nieodłączną cząstką duszy utworu, a każdy najdelikatniejszy odcień i najmniejszy ułamek tonu były wyczuwalne.

Dziś poezya przeszła już przez złotą kąpiel realizmu, która wydobywa na wierzch rysy i światła, ukryte w kliszy. Dziś trzeba wchodzić w serce przedmiotu i mówić jego krwią, w jego oczy i patrzyć jego światłami, w jego zmysły i łaknąć jego głodem, w jego marzenia i tęsknić jego mgłami, w jego wizye i drżeć jego grozą i omdlewać jego przeczuciem.

Słowacki jednak, choć tak świadomie kazał językowi być giętkim i stosownie do potrzeby, albo smętnym jak pieśń stepowa, albo prędkim jak piorun, choć więc przeczuwał bezwzględność słowa, nie zawsze dostrajał je do tonacyi motywu.

Gdy np. w imię przyszłych haseł zwraca się do Zygm. Krasińskiego i jego apoteozie szlachty chce przeciwstawić potężną jakąś groźbę, bezgraniczne poświęcenie młodych, gromy i świty nowego jutra i burzę czynu — używa wyrazów dziwnie nie harmonizujących z zamiarem. Mówi: my »święci« i my młodzi staniemy tobie wpoprzek »jutrzenkami« i »błyskaniem«. Świętość, jutrzenki i błyskanie — to wesoła igraszka kolorów zamiast tragedyi, zamiast t c h n i e n i a groźby, to owo »lila«, owo mgławe i powabne otocze bardzo dalekich obrazów, zawsze jednakowe, czy gdy osnuwa idylę czy bitwę zaścielającą pole górami trupów.

W podobnież, ale w całkiem odwrotny sposób obchodzi się z puszczą z »Pana Tadeusza« Mickiewicza. Mówi ona hukiem »pękających bomb« i zatraca przez to charakter głuszy odwiecznej, tylko przez myśliwca odwiedzanej. Bomby potrzebne były dla rymu i może dla zwiększenia huku, lecz zepsuły naturę i wrażenie kniei.

Wyjątek w tym względzie, i wyjątek cudowny stanowi »W Szwajcaryi«, gdzie wezbranie żalu i tęsknoty jest tak beżmiernie wielkie, że mogło zalać i utrzymać w jednem uczuciu, w jednem rozdarciu, w jednem łkaniu i w jednej katuszy wspomnienia — całe kilkanaście stronic.

Dlatego ta symfonia szwajcarska tyle świeżych i znakomitych piór do naśladownictwa pociąga.

Nie jest to jednak »nastrój«, lecz coś większego: najbardziej skupiona, wcielona i intensywna z poezyi Słowackiego, gdy inne — może z wyjątkiem »Ojca zadżumionych« — są bardziej ekstensywne, są odwcieleniem. Jego obrazy i wizye za szybko się zmieniały i luzowały, ażeby mogły ważyć, jak ważą swym ciężarem ekspresywnym rzeźby jakiegoś Rodina, lub malowane fantazye Stucka, w rodzaju »Sfinksa«, który omdlewa cudowną miłością dla człowieka i kona z wiekuiście niepełnej, niedokończonej, pożerającej pieszczoty, albo »Wojna«, dumna i zwycięzka, której potworny rumak po olbrzymich ciałach stąpa, jak po pokosach.

Powie może kto, że był zanadto mistyczny. Nie — mistycyzm nie staje na przeszkodzie ogromowi wcielenia. Był raczej zanadto niecierpliwy i zanadto pochłaniany nadmierną żądzą bujania geniuszem po przestworach. Pod tym względem tak się różni od wszystkich nowoczesnych artystów, że, choć niejednego z nich wychował, może by ich nie zrozumiał. On był wspaniałą i rozległą syntezą poezyi, oni są syntezą sztuki. Natchnieniem była mu wiara i ideał, i pełna, nieokaleczona i hartowna dusza, o potężnych i pewnych siebie skrzydłach, i to wszystko, co świeciło nad wielką Sezostrysową dobą romantyzmu. Ich natchnieniem — nadludzkie, boskie ukochanie sztuki, któraby łączyła w poezyi misterność i precyzyę rzeźby Benvenuta Celliniego, spiżową zwartość brązów pompejańskich, obmyśloną kolorystykę obrazu i logikę kompozycyi muzycznej.

Ale nadto poezya dzisiejsza posiada cechę, ważniejszą i od syntezy środków artystycznych, którą się posługuje, i od nastroju. Jest ona przedewszystkiem artystą bezwzględnym; czy za temat bierze ból, tęsknotę do natury, czy miłość dla kobiety — wszystkie, nawet nie erotyczne uczucia dostraja do potęgi pasyi miłosnej, przemienia w żądze i namiętności. Ból

i rozkosz, śmierć i miłość bezbrzeżną, nieokreśloną melancholię wysubtelnionych nerwów, żywiołową, tragiczną pierwotność — wszystko wypowiada z bezwzględną szczerością.

Taki głos przejmujący, bezwzględny i sugiestyjny dawniej słyszało się tylko w wyznaniach i paroksyzmach miłosnych. I dziś nie wiemy, czy to przypadkiem nie sam erotyzm wybujał do tego stopnia, że stał się źródłem wszystkich innych uczuć, lub czy to nie on nastraja je na ten ton głęboki i wkradający się do serca. Bo każde uczucie odbija się w niej ogromnym rezonansem, na każdy kamerton odpowiada cała istota. Cóż dziwnego potem, że tracimy w poezyi gust do wzruszeń nie dosyć szczerych i skupionych, nie mogących spółzawodniczyć z muzyką miłości? Że wybija się na wierzch żądza kochania z całą swoją otchłanną tajemnicą i burzą, urokiem, zazdrością, nienasyceniem i całym piekącym romantyzmem podboju, roskoszy i wdzięku? Że stały się ulubieńcami tylko te motywy, w których sięgać można również do głębi przedczłowieczej i wydobywać taką samą, jak w miłości, pełnię ducha i ciała, takie sameześrodkowanie i skupienie czucia i instynktu, a zarazem gwiaździstą promienność i rozwiewność tęsknoty i rozległą chmurność smutku.

Być może, że to — wypaczenie ducha w jednę stronę, które przeminie, gdy poeta odzyska wiarę w pracę zbiorową, opokę społecznej idei, lub gdy choćby przestanie być niedorzecznością lub donkiszoteryą wierzyć w to, w co romantycy wierzyli z zapałem i bez przymusu. Być może, i niechaj ta chwila błogosławiona czemprędzej nadejdzie. Ale choćby nadeszła, sztuka swych trofeów i zwycięstw się nie zrzecze. Nie zgodzi się ona na to, ażeby poeta, malarz, rzeźbiarz czy muzyk, przestał używać takiego mocnego tonu, takiej dobitnej przejmującej mowy, jakgdyby był głównym aktorem każdego swego dramatu, i ażeby stał się widzem — epikiem, patrzącym zdala, bez pasyi i bolesnego lub roskosznego udziału, bez spółwibracyi całego swego jestestwa.

Otóż Słowacki, o ile nie śpiewał o sobie, o ile nie był sam wciągnięty do motywu, tworzył jak widz, wprawdzie nadwrażliwy, przeduchowiony, ogarniający wszechświat i przeczuwający tajnie rzeczy, uosobiony wzrok ducha, ale zawsze

widz. Widział barwy i ruchy, ale nie wkraczał osobiście w duszę, był zanadto autorem, reżyserem, opowiadaczem. Nadmiar treści psychicznej trwonił na nadmiar ruchów psychicznych z ujmą dla niezbędnej koordynacyi.

Jeżeli chodzi o te dokładne i przejmujące kamertony rozedrgania i rozkołysania, któremi się słusznie szczyci — ale za któremi świata czasami nie widzi modernizm, to daleko większym w tem mistrzem był Mickiewicz. Jego sonety to dzwony spiżowe, brzmiące z wysokości Czatyrdahów i gromowych chmur, które mają spuścić na morze orkany, a okrętom przynieść zagładę. I nikt z pewnością nie otchnie nas bardziej melodyjnie i głęboko podmuchem grozy:

Tam nie patrz! Tam spadła źrenica
Jak w studni Al-Kahyru o dno nie uderza —
I ręką tam nie wskazuj: nie masz u rąk pierza —
I myśli tam nie puszczaj: bo myśl jak kotwica
Z łodzi drobnej ciśniona w niezmierność głębiny
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci
I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu —
Pielgrzym
Mirżo, ja a spojrzałem! Przez świata szczeliny
Tam widziałem — com widział, opowiem — po śmierci,
Bo w języku śmiertelnych nie ma na to głosu.

I nigdzie nie znajdziemy pieszczotliwiej muskającego duszę — nastroju boskiej ciszy i tęsknicy, niż w »Stepach Akermańskich«.

I oto wpadamy znowu w czarodziejski krąg Mickiewicza. To prosta konieczność, to jeno uległość nieprzepartej potędze gieniuszu — ale żadną miarą skryta chęć dowiedzenia jakiejś wrzekomej niższości Słowackiego. Choćby nawet w pewnych kierunkach uchylić musiał czoła przed wielkim »śpiewakiem Litwinów« — widzieliśmy przecie, że jako organizacya nikomu się wyprzedzić, ani nawet dogonić w locie ku przyszłości — nie da. On sam tak doskonale pojmował chwałę lutni swego współzawodnika, że pomimo goryczy i namiętności rywalizacyi, po wielu apolinowych »quos ego« — śpiewa »Panu Tadeuszowi« przepyszny pean — w dalszych pieśniach »Beniowskiego«.

Jednak w tej cudnej epopei żyją:
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłąby.

A i dlatego jeszcze staje wciąż przed nami kolosalna postać Mickiewicza, że dokoła — tyle śmiesznego zwyczaju m i e r z e n i a obu poetów: który wyższy. To były dwa na słońcach swych przeciwne bogi — na cóż więc ta scholastyka pomiarów? Czyż trzeba koniecznie wywyższać jednego gwoli sławie drugiego? Obadwaj złożyli się na kościół narodowej poezyi i niepodobna wyobrazić sobie takiej miary, takiego przewrotu godeł i ideałów, któryby odsunął jednego z nich — a obawa mogłaby zachodzić co do bardziej klasycznego Mickiewicza — w przeszłość. Niechaj więc poezya nasza, na tak olbrzymich wychowana wzorach, nie wpada w ton śmieszny i nie okazuje im wyniosłej łaski, twierdząc, iż ten lub ów wiersz ich godzien jest... należeć do towarzystwa utworów doby ostatniej.

Miną stulecia, a poeci prawdziwego natchnienia będą brali sakrament wiekuistej młodości z pognębiająco szczerych i doskonale ludzkich rozpaczy Gustawa, z światoburczych rokoszów »Improwizacyi«, z Atlasowych wichur »Farysa«, z łez czystych i rzęsistych, z otchłannego panteizmu »Sonetów« i z puszczy litewskiej »Ostatniego zajazdu«. I miną wieki, nim poezya nasza przestanie dostrajać bicie swojego serca do gorącego pulsu Króla-Ducha i Beniowskiego — uczyć się melodyi, światła i dźwięku na całej nieogarnionej spuściźnie po Słowackim, podążać za nim w krainę marzeń i anhelicznie wzniosłych wizyi, i uciekać od trzęsawisk ziemi i rzeczywistości.

Może jego nadmiernie chyża gra była niezbędnym warunkiem tej komecianej świetlistości, której nie zrównoważy sto innych mniejszych zalet? Prawdopodobnie. Może lepiej, że nam świeci, choć zdala, ale bogactwem natury psychicznej, niż gdyby świecić miał zbliska nieomylnością środków odtwórczych. Baśniowa iście lotność ducha i ciągle wezbrana

kaskada natchnienia jest przecie czarownym mytem, gdy żywych wirtuozów mamy całe Parnasy.

Na rozwiązanie takich zagadnień dziś jeszcze zresztą za wcześnie. Dopiero zaczynamy rozumieć jako tako Mickiewicza — Słowacki do niedawna lekceważony i niemiły »starszej braci«, która u nas decyduje o sprawach poezyi i młodości, stoi wciąż jako tajemniczy fenomen. Umysłem, w najlepszym razie prostodusznym, chcemy przeniknąć jednę z najbardziej nieobliczalnych i złożonych dusz. Przymierzamy doń różne estetyki i poglądy — i każda z nich okazuje się, jak dotąd, przyrządem optycznym, który zamiast odsłaniać — zaciemnia; w świetle każdej z nich występuje na inny sposób pokrzywiony. Piętrzymy całe wzgórza uczoności literackiej, francusko-angielskiej, indyjsko-egipskiej i t. p., ażeby wykazać — czem on nie jest. Stawiamy go obok prerafaelitów, dekadentów, spirytystów, aż pod tą ulewą niedorzecznych paralel mgławicowo-złota przędza jego gieniuszu staje się jakąś wodnistą pajęczyną. Czyż to nie jasne, że należy zerwać z neo-scholastyczną filisteryą cytat i zestawień i stworzyć dlań osobny, nowy probierz? Wszakże nie ten, co naukowo streszcza, opisuje i wylicza, lecz ten, co potrafi przenikać świetlane przestworza, oślepiającym zorzom patrzyć w oczy, nie obawiać się duchów, nie doznawać zawrotów głowy, zaglądać nieustraszenie w kaźnie indywidualnej męki i nie klękać przed bałwanem — konsekwencyi i mądrości życiowej. Tym, co z taką pochodnią na mogile jego staną — może się wyraźniej ukażą czarodziejscy bohaterowie jego poematów. Sam on — zostanie zawsze niepochwytny; obiecał ukazać się tylko przyjaciołom.

Szkic niniejszy drukowany był pierwotnie w »Głosie« w kwietniu, maju i czerwcu r. 1899.